

Liryczne Jasto

**Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
Jasło 2024**

Liryczne Jasło

**Utwory laureatów
XXIX
Ogólnopolskiego
Konkursu
Literackiej
Twórczości
Dzieci
i Młodzieży**

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
www.mbp.jaslo.pl

Korekta: Katarzyna Koczwara
Elżbieta Sławniak
Jadwiga Matejek

Projekt okładki: Magdalena Chart

Druk: ATTYLA Władysław Kardasz, Jacek Kardasz Sp.j.

Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle, 2024

ISBN 978-83-957913-7-6

spis treści

7	Młodzi, czyli radość pisania
9	Lista osób nagrodzonych
14	Kategoria I Szkoly podstawowe, klasy 4-6
44	Kategoria II Szkoly podstawowe, klasy 7-8
80	Kategoria III Szkoly ponadpodstawowe

Młodzi, czyli radość pisania

Radość pisania.

Możliwość utrwalania.

Zemsta ręki śmiertelnej.

Wisława Szymborska

Współcześnie, głównie dzięki odkryciom i ustaleniom psychologii, w tym psychologii rozwojowej, nie ulega kwestii, że jednym z najważniejszych okresów w życiu człowieka jest młodość. Nie chodzi tu jednak tylko o to, że ludzie młodzi z wyjątkową intensywnością przeżywają własne istnienie, ale również o to, iż cechuje ich autentyczna otwartość na świat i ciekawość poznawcza. Jeżeli ktoś na własny rachunek, czyli ciałem, sercem, umysłem odkrywa siebie, ale też zasady czy mechanizmy rządzące światem, rodzi się w nim często potrzeba utrwalenia tych rozpoznań i podzielenia się nimi. Wtedy pomocne okazuje się narzędzie, którym ludzie posługują się od tysięcy lat. Zwie się ono – literaturą.

Kolejna, XXIX edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży, organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jaśle, przekonuje, że dla młodych ludzi literatura wciąż pozostaje ważnym i atrakcyjnym sposobem notowania, rejestrowania, utrwalania własnych przygód i zmagania ze sobą oraz światem. A są to, dodajmy, zmagania rozgrywane się w bogatym, różnorodnym spektrum: doznań, przeżyć, obserwacji, przemyśleń... inspirowanych nie tylko codziennym życiem, ale również tekstami kultury, z którymi młodzi adepci pióra prowadzą własny, nierzadko pogłębiony i pomysłowy, dialog. Widać to choćby w aluzjach, parafrazach, trawestacjach znanych utworów (np. *Lalka* Bolesława Prusa czy *Mały księżę* Antoine'a de Saint-Exupéry'ego), ale także w podejmowaniu takich gatunków fabularnych jak: kryminał, horror, fantasy, science-fiction czy baśń. Raczej nie ulega kwestii, że sprawne literacko, a często ciekawe

i pomysłowe, realizacji tekstowe wyżej wspomnianych konwencji świadczą nie tylko o odczytaniu, ale także o dociekliwym przyglądaniu się warsztatowi uznanych czy ulubionych pisarek albo pisarzy. To oczywiście dobry kierunek, bowiem od kogo uczyć się pisania, jak nie od tych, którzy potrafią to robić dobrze, a nierzadko po mistrzowsku.

Pisanie jednak to również – poza wszystkim innym – „radość pisania”, osobliwe pobudzenie, podniecenie, zdziwienie płynące stąd, że „powstaje z nas rzecz o której nie wiedzieliśmy że w nas jest” (Czesław Miłosz). Tę aurę mogliśmy, myślę tu o jurorach konkursu, poczuć i uchwycić w wielu czytanych utworach; zwłaszcza wyróżnionych i nagrodzonych. Co się zaś tyczy jury, to pracowało ono w składzie: Aleksandra Dacyl (polonistka, animatorka kultury), Mariusz Kalandyk (poeta, literaturoznawca, redaktor naczelny rzeszowskiego „Kwartalnika Edukacyjnego”), Grzegorz Kociuba (poeta, krytyk literacki, polonista – przewodniczący jury), Jan Tulik (poeta, prozaik, eseista, dramaturg). Dodam tylko, że jury było wyjątkowo zgodne, jeśli idzie o teksty nagrodzone i wyróżnione. Bierze się to m.in. stąd, że pracujemy w tym składzie od kilkunastu lat, więc „rozumimy się bez słów”. Co oczywiście nie oznacza, że w trakcie posiedzenia ustalającego werdykt, nie dochodzi do ciekawych, ożywionych, inspirujących dyskusji.

Miłośników statystyki spieszę poinformować, że w bieżącej edycji OKLTDiM wzięło udział 224 autorów, którzy nadesłali 457 prac, z czego: 313 stanowiły wiersze, 139 opowiadania (a ściślej różne gatunkowo utwory fabularne), zaś 5 utwory dramatyczne, konkretnie jednoaktówki.

Zbliżając się do XXX, jubileuszowej, edycji konkursu można stwierdzić, że jasielskie przedsięwzięcie ciągle cieszy się sporym zainteresowaniem młodych miłośników literatury. Wygląda więc na to, że wciąż nie opuszcza ich radość pisania, a nam, jurorom, daje to sposobność do cieszenia się lekturą utworów proponowanych przez najmłodszych i młodych autorów.

Grzegorz Kociuba

Lista osób nagrodzonych

Kategoria I

Szkoły podstawowe, klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

Zieltoś – Antonina Zielińska, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

2 miejsce

baranek – Tymon Baranowski, kl. 5 Polsko-Francuska Szkoła Podstawowa „La Fontaine” w Warszawie – *cykl wierszy*

3 miejsce

Białe krzesło – Magdalena Grzywa, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 11 w Jaworznie – *cykl wierszy*

Wyróżnienia:

Gilla – Laura Gilar, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Rass – Anna Bieńkowska, kl. 5 Polsko-Francuska Szkoła Podstawowa „La Fontaine” w Warszawie – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Niele – Julia Kocot, kl. 4 Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu – *cykl opowiadań*

2 miejsce

Puchacz – Kinga Puchała, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Jeżewie – *Projekty AI*

3 miejsce

Monia – Monika Rządowska, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Jeżewie – *Siedem dni z życia plastikowej butelki*

Wyróżnienia

Adijos – Adrian Domagała, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 3 w Szamotułach – *Herbatka z Alicją*

Ajszti – Remigiusz Ajchsztet, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 10 w Mińskowie – *Cegły*

Dominika – Urszula Kidaj, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 1 w Lublinie – *cykl opowiadań*

Lawenda 2 – Aleksandra Chłopek, kl. 6 Gminny Zespół Szkół w Skarbimierzu – *Pozytywka*

Kategoria II

Szkoły podstawowe, klasy 7-8

Wiersze

1 miejsce

Moznik – Nikola Mozgawa, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

2 miejsce

Księżniczka – Maja Adamczyk, kl. 8 Szkoła Podstawowa w Chełmcach – *cykl wierszy*

3 miejsce

Lawenda – Julia Jakubowska, kl. 8 Szkoła Podstawowa w Chełmcach – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

A.D. – Andrzej Dechnik, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa w Krzeszowie Górnym – *cykl wierszy*

Brzózka – Antonina Mrowiec, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Lirykus – Olivia Hadzińska, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 6 w Myszkowie – *cykl wierszy*

Ogródek – Martyna Pasek, kl. 8 Podstawowa Ekologiczna Szkoła Społeczna w Rumii – *cykl wierszy*

Wikwot – Wiktoria Wotszel, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Nutka2 – Dominika Kowal, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 1 w Lubaczowie – *Czas fortepianu*

2 miejsce

Stokrotka13 – Antonina Stańczyk, kl. 7 Społeczna Szkoła Podstawowa nr 4 w Poznaniu – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Kubenty – Jakub Szul, kl. 7 Zespół Szkół Publicznych Szkoła Podstawowa w Posadzie Górnej – *cykl opowiadań*

Wyróżnienia

Janion – Jan Goli, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 10 w Mikołowie – *Okulary czasu*

Kobza – Kacper Kabziński, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 10 w Mikołowie – *Jestem bogiem*

Lirycus – Olivia Hadzińska, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 6 w Myszkowie – *Ateista i Anioł*

Meikame – Urszula Bałuta, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 84 w Gdańsku – *cykl opowiadań*

Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

1 miejsce

Miklusik – Jakub Miklus, kl. 3 Samorządowe Liceum Ogólnokształcące w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

2 miejsce

Lampa – Gabriela Waško, kl. 2 IV Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Integracyjnymi w Jaśle – *cykl wierszy*

3 miejsce

Ranna Cebula – Julia Nguyen Van, kl. 4 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *Nie jestem*

Grechut – Grzegorz Sobkiewicz, kl. 1 Zespół Szkół nr 3 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Matwiej – Mateusz Szachowicz, kl. 3 II Liceum Ogólnokształcące w Gorzowie Wielkopolskim – *cykl wierszy*

Paqueretta – Oliwia Kosman, kl. 3 V Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi w Dąbrowie Górniczej – *Dymorfizm płciowy*

Pustułka – Emilia Kusz, kl. 2 IV Liceum Ogólnokształcące w Zielonej Górze – *cykl wierszy*

Tobi – Jan Kocot, kl. 1 IV Liceum Ogólnokształcące w Bytomiu – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Aldi – Aldona Rams, kl. 4 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *Librum arbitrium*

2 miejsce

Ava – Zuzanna Matuszczak, kl. 2 III Liceum Ogólnokształcące w Tarnowie – *Żałuję, że nie zadzwoniłem*

Ranna Cebula – Julia Nguyen Van, kl. 4 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *Raz ostatni*

3 miejsce

Gardia – Gabriela Roszczyk, kl. 4 IX Liceum Ogólnokształcące w Warszawie – *cykl opowiadań*

Wyróżnienia:

Brzytwa – Kinga Skrok-Wolska, kl. 1 Zespół Szkół Leśnych w Lesku – *Łowca kredek*

Julia Apolonia – Julia Liptak, kl. 3 Zespół Szkół Ogólnokształcących w Nowym Targu – *Migdałowe Wzgórze*

Peonia – Kornelia Krawiec, kl. 2 Liceum Ogólnokształcące w Dzierżoniowie – *cykl opowiadań*

Szesnasta cyfra liczby Pi – Hanna Marcinkowska, kl. 2 VI Liceum Ogólnokształcące w Kielcach – *cykl opowiadań*

Jednoaktówki

1 miejsce

Santiago de Paso – Jakub Krok, kl. 4 I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie – *Siostra*

Wyróżnienia

De – Grzegorz Roda, kl. 2 Gdańskie Liceum Autonomiczne – *Papkin i krokodyl*

Conrad Joestar – Bartosz Mituła, kl. 2 II Liceum Ogólnokształcące w Gorzowie Wielkopolskim – *Konieczność najwyższa*

Kategoria I

Szkoły podstawowe

klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

15 Antonina Zielińska: *Antosine Haiku*

2 miejsce

16 Tymon Baranowski: *Ostatnia strona*

3 miejsce

16 Magdalena Grzywa: *Najlepszy moment*

Wyróżnienia

17 Laura Gilar: *Chciałabym*

17 Anna Bieńkowska: *Aksamit*

Opowiadania

1 miejsce

18 Julia Kocot: *Pamięć pokoleń*

2 miejsce

24 Kinga Puchała: *Projekty Al*

3 miejsce

27 Monika Rządowska: *Siedem dni z życia plastikowej butelki*

Wyróżnienia

30 Adrian Domagała: *Herbatka z Alicją*

32 Remigiusz Ajchsztet: *Cegły*

34 Urszula Kidaj: *Kosmiczna straż ekologiczna*

38 Aleksandra Chłopek: *Pozytywka*

Antonina Zielińska (Zieltoś), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Antosine haiku

Wzburzone morze
Daje popis kankana
Brawa poszły spać

Szarobura ćma
Tańczy z gracją przed lampą
Wyłączono prąd

Zakochany kot
Podkręca z dumą wąsy
Myszy harcują

Pstrokata kura
Podrywa koguta
Rosół był dobry

Przemądrzały paw
Schował głowę jak struś w piach
Nie widział tęczy

Tymon Baranowski (baranek), kl. 5
Polsko-Francuska Szkoła Podstawowa
„La Fontaine” w Warszawie

Ostatnia strona

Pusta
Czeka na kroplę atramentu,
która wypełni ją sensem,
otworzy drzwi do innego świata.
Smutna
Zazdrości innym wokoło,
Słyszając śmiech koleżanek.
Powoli usycha z pragnienia
treści, którą wchłonęłaby natychmiast
Przez swoją delikatną i wrażliwą strukturę...
Niestety,
Na końcu kolejki
życie ma dla niej
tylko bazgroły.

Magdalena Grzywa (Białe krzesło), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 11 w Jaworznie

Najlepszy moment

Zawsze jest dobry moment, by otworzyć okno i zdjąć koronę,
a potem w niezawiazanych butach wyruszyć w inną stronę.
Pośród rozrzuconych myśli wyszukać, albo odkurzyć marzenia
te przyziemne i te szalone, aż w końcu te, których nikt nie docenia.

Złocistą jesienią pozrywać w sadzie soczyste jabłka,
z gitarowych strun na rynku zadymić niczym dziadkowa fajka.
Skacząc z murka na murek pozdrowić przechodniów miasteczka,
zawitać do wiekowej piekarni i zjeść w niej świeżutkie ciasteczka.

Zaś wiosną zachwycić się skowronka piosenką,
po odpoczynku na łące wstać i zabrać tylko to co pod ręką.
Uśmiechać się do innych i nie być już mądrzejszym.
Zatańczyć w strugach deszczu, nie myśleć o dniu jutrzejszym.

Idąc pustą drogą wśród światła ulicy,
odczytać myśl przyszłości w starej kamienicy,
nie czekać już dłużej co rozum podpowie
i to najlepszy moment na zmianę w twojej głowie!

Laura Gilar (Gilla), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Chciałabym

Chciałabym być zajączkim
z lusterka
posiedzieć na ścianie
podrzemać
pobawić się w ganianego
schować się przed światem
i zniknąć
w torebce mamy

Anna Bieńkowska (Rass), kl. 5
Polsko-Francuska Szkoła Podstawowa
„La Fontaine” w Warszawie

Aksamit

Głęboki,
gładki,
zachwycający,
drogi...
A jednak nic nie znaczy

Julia Kocot (Niele), kl. 4
Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu

Pamięć pokoleń

25 sierpnia 1939

– Będzie wojna, będzie wojna – matula chwytiała się za głowę raz po raz.

– Daj spokój, Aniela, przecież my we wsi mieszkamy. Aż dwa kilometry od miasta Grzymałów. Gdzie tu ktoś wejdzie do takiej pipidowy? Jakby co, to Klimczukowie się za nami wstawią. To porządni ludzie – ojciec odchylił głowę znad talerza zupy, i trochę krwistego barszczu zalało jego białą koszulę.

– Zobaczysz Władek, że nas zgniotą. Ale nie Niemcy, tylko Ruskie. I do tego Ukraińcy swoje łapy na nasz kark położą. Będziemy cali w barwie podobnej do dzisiajszego barszczu.

– Co tak patrzysz, Kazik? – zwróciła się do mnie podniosłym tonem matula. – Weźże się do roboty! Na polu trzeba coś zrobić. A chociaż – kobieta machnęła ręką – kiedy wojna wybuchnie może się za tą Natalią przestaniesz uganiać. Toć to Ukrainka.

Siedziałem przy stole, pałaszując maminy barszcz. Krew uderzyła mi do głowy, kiedy rzekłem:

– A co z tego, że Ukrainka?

– A to z tego, że oni nas nienawidzą. Zobaczysz, będzie jeden wielki mętlik.

Rzuciłem talerzem i krzyknąłem wzburzony:

– To szkopy są naszym prawdziwym wrogiem, a nie Natalia i jej rodzina.

Ojciec pokiwał głową z dezaprobatą.

10 października 1939

– Zobaczysz, znajdziemy sposób, żebyśmy mogli być razem – gładziłem kosmyk włosów Natalii, który miękko powiewał na jesiennym wietrze.

Natalia Romańczuk. Moja miłość. Ukrainka. Czy nasze pochodzenie przekreśla uczucie?

– Kazik, to chyba ostatni raz, kiedy możemy się widzieć. Moja rodzina kręci nosem na to, żeś ty Polak.

Odwrociłem się gwałtownie, a dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.

– Przeczekamy tę burzę, Natalio. Ona nie może trwać wiecznie. Chociaż ja Polak, to nie jestem biedny, mamy dwanaście morgów ziemi.

Dziewczyna zaśmiała się gorzko:

– Dla mnie mógłbyś być nawet i biedakiem, ale wy Polacy nie macie już prawa nawet zabić świniaka, tylko wszystko jest na sprzedaż.

– Ale mój ojciec robi żarna wraz z sąsiadem i ma dużo mąki.

Przez chwilę delektowaliśmy się ciszą, w którą wciął się dziewczęcy szept:

– Kazik, moje serce bije tylko dla ciebie.

Spojrzałem na nią z miłością, ale naraz w moich oczach pojawił się gniew:

– To dlaczego wczoraj prowadziłaś się z tym Michailem?

Twierdziła, że ubrała się w szkarłat, ale naraz położyła mi swoją ciepłą dłoń na ramieniu:

– Wiesz o tym, że rodzice chcą, żebym poszła za niego. Jego rodzina jest najbogatsza we wsi. Ale ja się na to nigdy nie zgodzę – pokiwała gwałtownie głową. – To, że jest Ukraińcem nie uprawnia go do tego, aby ubiegać się o moją rękę.

– W strasznym świecie żyjemy. Do trzydziestego dziewiątego jakoś to się wszystko układało. A teraz? – rzekłem jakby sam do siebie. – Ale ja choćbym miał przepłynąć przez Styks zawsze będę przy tobie... Natalia, zawsze będę przy tobie!

21 czerwca 1941

– Władek, chyba po nas przyszli – mama padła na kolana i zaczęła lamentować. Szybko podbiegłem do niej, stawiając starszą kobietę do pionu.

Naraz rozległo się przenikliwe łomotanie do drzwi. Matka ukryła twarz w dłoniach i skuliła się, padając na drewnianą podłogę chaty. Ojciec zerwał się jednak z miejsca i otworzył drzwi.

– To sicz! – jęknął na widok strzelców.

Trzech młodych mężczyzn wpatrywało się w nas z nienawiścią, ale para jednych, najbardziej zaciętych oczu ciskała we mnie błyskawice.

– Michaił! – wyrwało mi się z piersi.

Jakże on mnie nienawidził! Od kiedy Natalia odesłała go z kwitkiem, winił mnie za swoje niepowodzenie. Rodzina dziewczyny nigdy nie wybaczyła jej tego wyboru. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że mężczyzna darzy moją Natalię uczuciem. Ja byłem główną przeszkodą do zdobycia jej serca. A teraz stał przede mną.

– Zabiliście po kryjomu świniaka – rzucił krótko.

– To nieprawda – naraz z ziemi podniosła się matka – od czasu, kiedy zlikwidowaliście hrabiego Władysława Wolańskiego, w sklepie brakuje wszystkiego. Ale my nie kradniemy. My się dostosowujemy do waszych reguł.

– Czyżby? – błękitne oczy Michaiła zaczęły lustrować nasz dom. – Przeszukać chatę!

Ukrainiec kopnął z całej siły leżące niedaleko krzesło tak, że jego wątła noga połamała się. Matka krzyknęła tempo. Za chwilę nasza chata zaczęła przypominać wielkie pobojewisko. Ale mężczyźni niczego nie znaleźli.

– Teraz macie szczęście! – rzucił cierpko Michaił, ale przysięgam, znajdę haka, żeby rozerwać cię na strzępy – syknął, zamykając za sobą z hukiem drzwi.

11 lipca 1943

– Władek, musimy stąd uciekać! Kulowa opowiadała, że oni mordują wszystkich. Zatlukli nawet Czyżyków. Kiedy stara Czyżykowa wróciła z pola, podłoga jej chaty była cała we krwi. Oni nie mogli odnaleźć zwłok. I okazało się, że ciała pomordowanych leżą w bojowniku i są zamaskowane gnojem i słomą. A wszystkie ofiary zostały postrzelone w tył głowy i w plecy. Stary Czyżyk był wte-

dy na polu, ale widział jak banderowcy otaczali ich dom i słyszał strzały. No i on... stracił mowę.

– Chyba już za późno na ucieczkę, musimy pogodzić się z naszym losem – rzekł wolno ojciec, cedząc każde słowo. – My już starzy jesteśmy... Starych drzew się nie przesadza. Za to ty... – wskazał na mnie.

– Co ja? – zapytałem. – Ja się stąd nie ruszę. Tutaj jest moja Natalia.

– A piekło z tą twoją Natalią – wrzasnęła matka. – Przecież ona Ukrainka i nigdy, ale to nigdy za ciebie nie pójdzie.

– Zostanę tutaj, tu są moje korzenie.

Matka przeżegnała się.

18 lipca 1943

Jasny świt wyłonił się z nocy. Rankiem wilgotna ziemia pachniała jeszcze zmierzchem. Wracaliśmy wraz z rodzicami z nabożeństwa.

– Kazik, a może ja ci jajecznicę zrobię? – zagadnęła matka.

Uśmiechnąłem się na samą myśl o zapachu świeżych jajek, które matula smażyła na boczku.

I faktycznie, po chwili moje marzenie stało się rzeczywiste. Jednak szybko miły nastrój przerwał gwałtowny łomot do drzwi.

– Po coś tę jajecznicę smażyła? – wrzasnął ojciec. – Pewnie przywiódł ich zapach jedzenia.

Po chwili naszą chatę wypełniło trzech nieznanych z widzenia, uzbrojonych w karabiny banderowców.

– Dawaj dokumenty! – rzucił jeden, i dodał szybko – i portfele. One nie będą już wam potrzebne.

– Rozbierajcie się do bielizny – rzucił drugi, a potem cała trójka roześmiała się, wołając jak refren:

– Z wami to już koniec polskie mordy. Tutaj nie będzie dla was miejsca.

Ojciec wyprężył swoje ciało niczym struna, a matka padła na kolana i zawołała błagalnym tonem:

– Dajcie się nam jeszcze chociaż pomodlić.

Jeden z nich, ten najwyższy uderzył ją bagnetem, a ojciec doskoczył szybko, na co tamten pchnął go tak mocno, że tatko upadł na ziemię.

– Zostawcie nas! – naraz wyrwało mi się z piersi. – Nie zbudujecie Ukrainy na naszej bezbronnej krwi. Okryjecie tylko wasz naród ukraiński hańbą.

Ukrainiec spojrzał na mnie z nienawiścią, ale nic nie powiedział. Jednym ruchem dłoni dał nam znak, żebyśmy przeszli z kuchni do pokoju.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Jakby świat na chwilę zatrzymał się w jednym punkcie. A potem naraz rozległ się huk.

– Michaił! – krzyknął jeden z nich.

To był on. Mój największy wróg. Rywał. Człowiek, który nienawidził mnie z całych sił. A teraz stał przede mną i ogarniał mnie wzrokiem z wyższością i pogardą:

– Zlikwiduję wszystkich – rzucił do Michaiła jeden z banderowców.

Michaił odpowiedział mu kpiącym uśmiechem. Tymczasem tamten drugi załadował karabin. Huk... Straszny huk... A potem drugi. Jęknąłem cicho, kiedy skręciłem głowę w bok. Moja matka... Cała we krwi... i ojciec... Tego nie dało się zapomnieć. Zaciśnąłem z całej siły powieki. Teraz moja kolej. Spoglądałem na Michaiła.

– No dalej... Dalej... Zabij mnie! – syknąłem.

Ale tamten nic nie mówił. Naraz jednak odezwał się po ukraińsku do swoich towarzyszy:

– Idźcie spłądować tę chatę. Pewnie mają trochę wódki. A ja zajmę się tym... – wskazał na mnie. – Zajmę się nim!

Tamci spełnili jego polecenie. Zostaliśmy sam na sam. Ja i on. Ja i mój rywał.

– Pewnie czekałeś na tę chwilę całe życie – wyszeptąłem, spoglądając mu głęboko w oczy. – Zabijesz mnie i Natalia będzie mogła się wypłakać na twoim ramieniu? Tak? Taki jest twój plan?

Ale Michaił milczał. Patrzył zamglonym wzrokiem, a potem spojrział w bok. Okno w kuchni zostało otwarte i właśnie firanka tańczyła wraz z letnim wiatrem.

– Uciekaj! – usłyszałem jego cierpki ton głosu.

Spojrzałem na niego zaskoczony:

– Co? – wymamrotałem tylko, a on powtórzył głośniejsze:

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Uciekaj! Oni zaraz tutaj będą.

Nasze oczy spotkały się.

– Dlaczego to robisz? – wyszeptałem, lecz on nie odpowiedział.

Ale nie było już czasu na rozważania. Naraz wyskoczyłem przez okno, wybijając łokciem szybę. Rozpocząłem swój szaleńczy bieg. Nagle ktoś zaczął do mnie strzelać, chyba kompan Michaiła. Jednak zaciął mu się karabin. Zacząłem biec, uciekłem za stodołę, gdzie stał jeden z banderowców. Znowu słyszałem strzały, ale one omijały mnie.

Biegłem co sił w nogach polami, a moim sprzymierzeńcem stało się rosnące wysoko żyto. Ujrzałem, że na pastwisku pasą się konie. Pochwyliłem jednego z nich za grzywę i na oklep jechałem dalej. I znowu strzały... Spojrzałem na jadącą furmankę z pięcioma banderowcami, którzy strzelali w moim kierunku. Ale śmierć nie była moim przeznaczeniem. Jechałem konno aż do rzeki, przez którą przeprawiłem się. A potem uciekałem. Uciekałem.. I tak było już całe życie...

11 marca 2012

Takie były moje losy. Losy młodego chłopaka, który uciekał przed nienawiścią... Ale ona wciąż goniła mnie... dopadała przez całe życie. Nieważne czy miała ona mundur niemiecki, czy ukraiński. Do tej pory świat niczego się nie nauczył. Włączam telewizor i co widzę? Nienawiść! Ludzi wciąż dopada zło. Ludzi takich jak ja, młodych, niewinnych, którzy pragnęli kochać i żyć w spokoju. Ale wróg nie ma konkretnej narodowości. Tak jak nie posiada jej przyjaciół. Nadal istnieją ludzie tacy jak Michaił. Tamtego nie spotkałem już nigdy. Ale ufam głęboko, że kropla draży skałę, i dzięki takim jak on, świat może obmyć się z nienawiści... Może być nadal piękny!

Kinga Puchała (Puchacz), kl. 5
Szkoła Podstawowa w Jeżewie

Projekty AI

Nastały ciekawe czasy. Internet daje nam wiele możliwości. Sztuczna inteligencja powoli wkracza w nasze życie... Także w życie szkolne, ponieważ można ożywiać obrazy postaci, które żyły wiele lat temu. Właśnie pani od historii zadała przygotowanie projektu, w którym użyjemy sztucznej inteligencji. Wszyscy lubiliśmy te projekty. Opowiem Wam o takich zadaniach.

Kiedy zaczęła się lekcja historii, wszyscy tajemniczo uśmiechali się do siebie. Każdy uważał, że przygotował coś niezwykłego. Kolega Michał ciekawie zaprezentował postać Tadeusza Kościuszki – naszego polskiego patrioty. Kościuszkę opowiadał o swoich długich włosach oraz wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Wszyscy byliśmy zdziwieni, bowiem wiedzieliśmy tylko o tym, że był przywódcą powstania kościuszkowskiego. Moja prezentacja była o kobiecie – Marii Skłodowskiej-Curie, gdyż uznałam, że najczęściej prezentowane są słynne czyny mężczyzn, to oni są bohaterami, a ja podziwiam naszą Polkę za jej dokonania. Jestem pod wrażeniem, że zdobyła dwie Nagrody Nobla. Była jedną z pierwszych kobiet, która zrobiła prawo jazdy, a potem podczas I wojny jeździła z aparatem rentgenowskim i prześwietlała rannych żołnierzy. Najzabawniejsze było to, że w podróż poślubną udała się na rowerze, a rower wtedy był niezwykle dziwolągiem, zatem Maria na rowerze musiała wyglądać zabawnie. Do tego skróciła sobie sukienkę i jeździła bez kapelusza. Na tamte czasy była prawdziwą skandalistką, i jeszcze większą uczoną. Smutne było to, że wieloletnia praca nad promieniowaniem spowodowała ciężką chorobę i ciało po śmierci zostało pochowane w ołowianej trumnie, a jej grób znajduje się w paryskim Panteonie. O tym wszystkim opowiedziała moja bohaterka na lekcji historii. Wszyscy słuchali z zainteresowaniem i przyznano, że to był najlepszy projekt. Postanowiłam, że na kolejne zajęcia przygotuję coś, co zaskoczy wszystkich. Chciałam, żeby było trochę zabawnie.

Właśnie najciekawsze było przede mną – godzina wychowawcza i przygotowanie prezentacji z wykorzystaniem AI o najważniejszych kobietach z literatury i życia. Zbliżał się Dzień Kobiet, więc tematyka aktualna.

– Chyba nie przygotujesz prezentacji znowu o Skłodowskiej? – zagadała złośliwie moja koleżanka Ewa.

– Nie, to będzie niespodzianka – odpowiedziałam, ale jeszcze nie wiedziałam, o kim napiszę.

– Ja przygotuję o Matce Teresie z Kalkuty.

– Moją bohaterką będzie Alicja w Krainie Czarów – odparła Ala.

– A ja wykorzystam Królową Śniegu.

– Dziewczyny, ale wy jesteście niepoważne – powiedziała Lena – chyba lepsze będą prawdziwe kobiety, które coś osiągnęły w życiu: Malala, Świątek, Martyna Wojciechowska. Trzeba poszperać...

– Dlaczego? Przecież pani powiedziała, że mogą być postaci z literatury.

– Przygotuję o Irenie Sendlerowej – powiedziała Karolina.

Odwrociłam się na pięcie i wyszłam ze szkoły. Wiedziałam, że moja postać będzie niesamowita. Akurat mama przeglądała jakąś książkę o sztuce i był w niej obraz „Narodziny Wenus”. Już wiedziałam, że moją bohaterką będzie Afrodyta.

Wreszcie nastał czas godziny wychowawczej. Moja praca była nietypowa, gdyż mojej Afrodycie można było zadawać pytania, a ona na nie odpowiadała. Kiedy wyszłam na środek klasy i przygotowałam tablicę multimedialną, pokazała się przepiękna postać kobiety, która stała na muszli i ze wstydem zasłaniała swoje nagie ciało. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy, a oczy patrzyły przed siebie. Zadałam jej pierwsze pytanie.

– Kim jesteś?

– Jestem Afrodytą, czyli jedną z najważniejszych bogiń. Rzymianie nazywają mnie Wenus. Ludzie czczą mnie jako boginię piękna, miłości, płodności, kwiatów i wiosny.

– W jakich sytuacjach zwracali się do ciebie ludzie?

– Wzywano mnie i proszono o pomoc. Ludzie prosili, abym przybyła i pocieszyła w smutku, kiedy ich miłość nie była odwzajemniona.

- A jakie zwierzę jest tobie poświęcone?
- Są to gołębie, to one ciągną mój rydwan – odparła bogini i po chwili zwróciła się do mnie:
- Mnie uważano za najpiękniejszą boginię, a jak wygląda najpiękniejsza kobieta na Ziemi?
- Tutaj bogini mnie bardzo zaskoczyła. Wiedziałam, że co roku jest wybierana miss świata. Ale nie pamiętałam jej nazwiska. Nie chciałam wyjść na osobę, która nie orientuje się w aktualnych wydarzeniach, ale przypomniała mi się sytuacja, która właśnie zaistniała w mediach i odpowiedziałam głośno:
- To Caroline Derpienski, i pokazałam jej zdjęcie w telefonie.
- Afrodyta długo się przypatrywała zdjęciom celebrytki i nagle stwierdziła:
- Jakie ona ma duże usta. Czy wszystkie piękne kobiety charakteryzują się dużymi ustami?
- Nie, niektóre kobiety chcą być pięknie i wstrzykują sobie botoks w usta.
- Ale rzęsy też ma takie długie i gęste?
- One są doklejane, sztuczne.
- A dlaczego jej brwi mają taki piękny kształt?
- Zrobiła jej kosmetyczka. To jest makijaż permanentny – odparłam Afrodycie.
- Dziwne... Jak to jest możliwe, że uważana jest za najpiękniejszą kobietę na świecie, a jej twarz jest cała sztuczna? – zainteresowała się Afrodyta.
- Zaraz ci przeczytam ciekawostkę o tej kobiecie... – włączyłam mojego smartfona i opowiedziałam jej kilka ciekawostek znalezionych w internecie. – Wyobraź sobie, że jej narzeczony jest milionerem. Caroline twierdzi, że ma kilka kont, na których trzyma pieniądze, a na najbiedniejszym koncie ma tylko 3 miliony dolarów... Wiesz, że na Instagramie obserwuje ją 3,4 miliona ludzi.
- To niesamowite! – zdziwiła się Afrodyta. Ja bym z nią przegrała, gdyby trzeba było wybrać najpiękniejszą. Moje rzęsy są krótkie, a usta takie sobie.

Moje koleżanki i koledzy pokładali się ze śmiechu. Słyszałam głosy kolegów:

- Uważaj, bo zapłacisz więcej niż Nosowska.
- Niezła parodia Caroline.

Pani też się śmiała. A ja kończyłam rozmowę z moją bohaterką, która miała płacz na końcu nosa i czuła się zdruzgotana, że jej wygląd nie opiera się na sztuczności.

- Nie martw się, twoja uroda trwa wieki. Jesteś podziwiana za naturalne piękno. Caroline przeminie, wszyscy o niej zapomną, a ty będziesz nadal podziwiana.

Na tym zakończyłam prezentację mojej postaci. Zadowolona pani wstała i zwróciła się do klasy:

- Wasza koleżanka przygotowała niezłą lekcję wychowawczą. Pewnie to niemożliwe, ale zgodzę się z nią, że to co naturalne jest najpiękniejsze. Dziewczeta, nie przesadzajcie zbyt wcześnie z mocnym makijażem, z medycyną estetyczną. Na wszystko przyjdzie czas. Ważniejsze jest niewidoczne dla oczu. To dobro, którego nie widać...

I tak swoją prezentacją zabłysnęłam w szkole. Dorośli byli pod wrażeniem tego, co chciałam przekazać moim rówieśnikom, i wam też to mówię. Tylko proszę, zatrzymajcie tę historię w tajemnicy, bo jak się dowie Caroline Derpienski, to...

Monika Rządowska (Monia), kl. 5
Szkoła Podstawowa w Jeżewie

Siedem dni z życia plastikowej butelki

Dzień pierwszy

Jestem plastikową butelką. Stoję na półce wraz z moimi siostrami. Jesteśmy wypełnione różnymi płynami o rozmaitych kolorach i smakach. Bywamy przezroczyste, żółte, pomarańczowe, zielone i czerwone. Czekamy, żeby znalazł się ktoś, kto nas kupi. Nudno

w tym sklepie, nic się nie dzieje. Ludzie przychodzą i odchodzą, wybierają, narzekają, a ja patrzę błagalnym wzrokiem i krzyczę: „Kup mnie!”. Kiedyś przechodziła tędy matka z synkiem, który już trzymał mnie w ręce, ale mama powiedziała, że słodkie napoje są niezdrowe i... wróciłam na półkę.

Dzień drugi

Po przespanej nocy nastał kolejny dzień oglądania ludzi robiących zakupy. Nagle zjawiała się dziewczynka. Wzięła mnie do ręki i poszła do kasy. Byłam bardzo szczęśliwa. Potem włożyła mnie do plastikowej reklamówki, z którą się od razu zaprzyjaźniłam, bo okazało się, że mamy wspólne geny – obydwie byłyśmy sztuczne, stworzone z polimerów. Gdy nasza wybawczyni wróciła do domu, natychmiast otworzyła lodówkę i umieściła mnie w niej. Niestety, plastikową torbę włożyła do szafki.

Dzień trzeci

W lodówce było zimno i bardzo w niej zmarzłam. Nie sądziłam, że kiedyś będę tęsknić za nudną sklepową półką. Nagle drzwi lodówki otworzyły się i dziewczynka wyciągnęła mnie. Wlała część napoju do szklanki i wstawiła mnie z powrotem do lodówki. Jednak przez chwilę, kiedy stałam na stole, oglądałam program w telewizji, w którym była mowa o tym, jak wiele ton plastiku produkuje się w Europie. Mówiono, że plastik długo rozkłada się w ziemi i że bywa szkodliwy dla zdrowia. Niewiele z tego zrozumiałam, ale bardzo mnie to zaniepokoiło.

Dzień czwarty

Obok mnie w lodówce stoi pojemnik z jogurtem. Jest zdecydowanie za mocno rozgadany. Ciągłe opowiada, jak bardzo rozwinął się świat, że my ułatwiamy ludziom życie... Jemu nie przeszkadzało, że tu jest tak zimno, a ja czekałam, żeby znowu znaleźć się w rękach dziewczynki...

Dzień piąty

Dziś znowu wyszłam z lodówki... No, niezupełnie sama, ale co tam... Dziewczynka już przyłożyła mnie do ust, by się napić, gdy usłyszała krzyk mamy, że nie pije się wody bezpośrednio z butelki, że to niezdrowe i takie tam. Nie wiedziałam dlaczego i pewnie już się nie dowiem. Wtedy resztę napoju wiano do plastikowego kubeczka, który opowiedział mi historię brata bliźniaka, który został włożony do mikrofalówki i w ten sposób przestał istnieć. Powstała z niego niekształtna masa.

Dzień szósty

I co? Już jestem pusta! Wrzucono mnie do żółtego worka, gdzie były inne przedmioty z plastiku. Była też dawna przyjaciółka – plastikowa torba! Na swój widok krzyknęłyśmy z radości. Opowiedziałam jej o denerwującym pojemniku z jogurtem, który nie dopuszczał mnie do głosu. W pewnym momencie przerwała nam butelka od mleka, która narzekała, że jest nieumyta. Wtedy odezwała się czerwona nakrętka, która pouczyła butelkę, że dzięki temu ludzie oszczędzają wodę. Z oddali usłyszeliśmy opowieść plastikowej łyżeczki, która opowiadała o zbitym słoiku po ogórkach, ale szkło znalazło się w innym worku, bo ludzie segregują śmieci. Poprosiłyśmy, aby wyjaśniła nam, na czym to polega i zaczęła się długa opowieść....

Dzień siódmy

Kochani, ale mam frajdę! Przyjechał po nas specjalny samochód. Wszyscy, czyli plastikowa rodzina, pojechaliśmy do takiego zakładu, gdzie będzie się działo. Już jesteśmy po etapie sortowania, a teraz jedziemy dalej. W nowym miejscu zostaniemy przetworzone na nowe produkty. Ja się z wami żegnám i... pamiętajcie, żeby segregować śmieci. Nie wiem, co się ze mną stanie... Może się spotkamy w innej wersji... Pa pa pa.

Adrian Domagała (Adijos), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 3 w Szamotułach

Herbatka z Alicją

Jak co dzień, wracałem ze szkoły. Liście powoli spadały z drzew, ponieważ kończyła się jesień. Szedłem ulicą Piłsudskiego, bo tamtędy zawsze wracam do domu. Mijałem właśnie teren budowy, na którym moi nowi sąsiedzi budowali dom.

W pewnym momencie poczułem, że wypadło mi coś z kieszeni. Były to klucze. Schyliłem się, aby je podnieść, a gdy już miałem je w ręce, oberwałem czymś dosyć twardym w głowę. Ocknąłem się i zauważyłem, że leżę w dziwnym lesie. Nagle jedno z drzew przemówiło:

– Nic ci nie jest?

Jak można się domyślać, na oczy nie widziałem mówiącego drzewa, więc szybko wstałem i zacząłem uciekać. Przed sobą zobaczyłem wielki podłużny stół.

Nakryty był białym obrusem. Stały na nim imbryczki, filiżanki, talerze. Zadbano o sztucce oraz wiele różnych ciast. Na krzesłach siedziały cztery osoby, właściwie... nie tylko osoby. Na pierwszym usadowił się Szarak bez piątej klepki. Na drugim Suseł, który ewidentnie zasnął. Na trzecim dziewczyna ładną podobną do głównej bohaterki książki, którą ostatnio czytałem. Była to „Alicja z Krainy Czarów”. Gdy dziewczyna na mnie spojrzała, zobaczyłem, że to naprawdę ona. Przy stole nie zabrakło też Szalonego Kapelusznika.

– Patrzcie, kto przyszedł! Zapraszamy! – zawołała Alicja.

– Kim jesteś? – zapytał Szarak.

– Ja... ja... jes... jestem... Ma... Max – jękałem się przy odpowiedzi.

– Skąd przybywasz Maxie? – pytał dalej.

– Z Sza... Nagle Szarak mi przerwał.

– Jak tu trafiłeś?

– Dlaczego nie dałeś mi dokończy... – znowu stało się to samo, pomyślałem.

– Co cię tu sprowadza? – nagle Suseł wstał. – Co tu się dzieje? – chciał się dowiedzieć.

– Jakiś pan znalazł naszą krainę – po raz pierwszy odezwał się Kapelusznik.

– A więc, co cię tu sprowadza? – powtórzył pytanie Suseł.

– Nie potrafię wyjaśnić, jak tu trafiłem, ale wiem, że bardzo boli mnie głowa – odpowiedziałem.

– Napij się herbaty – zaproponował Kapelusznik, po czym nalał do jednej z filiżanek tego cudownego, parującego, wonnego napoju.

– Siadaj z nami – zaproponowała Alicja.

Gdy usiadłem i zacząłem pić herbatę, rozległ się dźwięk trąbki.

– O nie, znowu oni... – powiedziała niezadowolona Alicja.

Szarak schował się pod stół, Suseł udawał nieprzytomnego, a Kapelusznik mimo tego, że było go widać, zasłonił się imbryczkiem.

Nagle na stół weszła król... znaczy wydaje mi się, że królowa.

Trudno było mi rozeznaczyć się w tym wszystkim, bo jeszcze się nie zorientowałem, czy to dzieje się naprawdę, czy tylko śnię.

– Cała czwórka... – zacięła się, gdy mnie zobaczyła.

– A kim ty jesteś niewdzięczne dziecko!? – krzyknęła.

– To człowiek, Wasza Miłość! – odpowiedział za mnie Kapelusznik.

– Dobrze, a więc cała piątka pójdzie ze mną! Rycerze, skuć ich! – rozkazała królowa.

I w tym momencie rycerze wyjęli kajdanki zrobione z grzybów i wykonali rozkaz. Następnie zaprowadzili nas na podwórze wielkiego czerwonego zamku, gdzie stała ogromna gilotyna. Nie wiadomo, z jakiej przyczyny wybrali mnie jako pierwszego. Królowa wydała swój słynny okrzyk, a mnie życie przeleciało przed oczami.

– Skrócić o głowę! – krzyknęła władczyni.

Ostrze zaczęło spadać. Gdy już miało dotknąć mojej szyi, usłyszałem głos:

– Max, Max słyszysz mnie? – Były to słowa mamy.

– Co się stało? – zapytałem.

Leżałem na chodniku, wokół mnie zebrał się tłum ludzi, a mama nachylała się nade mną.

– Kiedy wracałeś ze szkoły i przechodziłeś przez posesję sąsiadów, budowlaniec przez przypadek strącił cegłę, która uderzyła cię w głowę. Pani Małgorzata to zobaczyła i zadzwoniła po mnie. Dobrze, że miałeś czapkę i kaptur na głowie. Jeżeli możesz wstać, to wróćmy do domu.

Po wizycie w szpitalu, gdzie stwierdzono, że nic mi nie dolega, zjadłem kolację i przygotowałam się do snu. Następnego dnia opowiedziałem klasie moją przygodę, wszyscy byli pod wrażeniem. Ja czasami jeszcze słyszę głos królowej „Skrócić o głowę!”, ale nie mówię tego mamie, bo wiem, żeby się martwiła. To była fajna przygoda, szkoda tylko, że spotkanie z Alicją trwało zaledwie chwilę, kiedy straciłem przytomność, bo chciałbym ją zapytać o kilka spraw, o których nie napisano w książce.

Remigiusz Ajchsztet (Ajszti), kl. 5 **Szkoła Podstawowa nr 10 w Mikołowie**

Cegły

Gdzieś w odległym państwie był budowany ogromny zamek z cegły. Pracowały przy nim tysiące robotników i architektów, a był tam nawet królewski architekt z wieloma budowlami w swoim życiu! Sprowadzano miliony cegieł z całego świata, a także zwykłe czerwone cegły z gliny.

Gdy inne „bogate” cegły rozmawiały o swoich podróżach i artystach, którzy je stworzyli, to trzy zwykłe cegły – Rysiek, Marek i Kasia, mówiły o rzeczach przyziemnych.

– Ile ludzi! – zauważył Marek.

– I jakie maszyny – wtórowała Kasia.

– Mamy dopiero pół roku i widzimy takie cuda! – ekscytował się Rysiek. Kiedy inne cegły podróżowały przez dalekie krainy, wysokie góry, głębokie morza i były wykonane z najdroższego marmuru, to trzy cegły wspominały najdalszą podróż jaką odbyły – na taczce z fabryki do składu cegieł. Gлина, z której były wykonane, była najzwyklejszą, pospolitą gliną.

Chociaż troje bohaterów nie miało wielkich przygód ani bogatych zdobień, to były niesamowitymi optymistami i mogły rozmawiać cały dzień.

Rozmawiały o różnych rzeczach, na przykład o kolorach, zwierzętach, jedzeniu, życiu czy o założeniu rodziny.

I tak przez długie dni ciągnęło się życie cegieł.

Kiedy w końcu wzięto je do budowy i ułożono na innych ceglach, poczuły, że już nie są wolne jak kiedyś. Siedziały już tak parę dobrych miesięcy, kiedy dowożono kolejne dostawy cegieł. Tak mijał czas powoli, dzień po dniu, a cegły dorastały. Aż w końcu zbudowano piękny i dostoyny zamek.

Zamkiem tym zachwycali się nie tylko ludzie, ale również cegły:

– Och jaki piękny zamek! – zachwycił się Marek.

– I jesteście jego częścią! – rozradowała się Zosia.

– Ale nas nie widać z wierzchu – powiedział smutno Rysiek.

– Nie bądź taki smutny, bez nas to wszystko by się zawałiło – pocieszała go Kasia.

– W sumie masz rację... – przyznał Rysiek.

Kiedy tak rozmawiały, przyłączyła się inna stara zwykła cegła:

– Kiedy byłem młody, byłem częścią wielkiego klasztoru, modliłem się codziennie od rana do nocy – powiedziała ochrypłym głosem.

– Ja byłem na ceglanym herbie królewskiego pałacu! – wtrąciła się marmurowa dama.

– A ja byłem w odległym porcie, gdzie widziałem ogromne statki!

– dołączyła się kolejna cegła.

– Ja widziałem dziwaczne zwierzęta, bo byłem murem w zoo – powiedziała cegła z zoo. Każda cegła chciała dołożyć swoje trzy grosze, więc zrobiło się wielkie zamieszanie.

Kiedy tak sobie bez troski gawędziły, rozmowę tę usłyszał jeden z robotników. Szukał źródła zamieszania, aż doszedł do wniosku, że to wiatr hulał za oknem.

Robotnik wrócił do domu, ten incydent jednak nie pozwalał mu spać. Myślał, myślał i myślał, i wymyślił, że gdy skończy pracę, ukryje się i poszuka źródła dźwięku. Jak pomyślał, tak zrobił. Wsłuchał się i poszedł za dźwiękiem.

Stanął w miejscu, z którego dochodził dźwięk i spojrzał w górę. To co ujrzał, zszokowało go. Zobaczył cegły z twarzami! Zemdlął od razu, a cegły widząc to zamilkły.

I zostały tak aż do dziś. Może widziałeś kiedyś cegły z twarzami?
Jeżeli tak, to właśnie one.

Urszula Kidaj (Dominika), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 1 w Lublinie

Kosmiczna straż ekologiczna

Jest piątek. Kolejny dzień jak co dzień. Dom, szkoła, dom, odrobienie pracy domowej, kłótnia z Przemądrzałą, sprzeczka z mamą, wieczorne mycie i spanie. I tak pięć dni w tygodniu. Byle dotrwać do weekendu... Może uda mi się wymigać od sprzątanego pokoju Niech Przemądrzała sprząta sama, skoro wszystko wie lepiej.

Dlaczego starsze siostry są takie denerwujące? Olka też ma starszą siostrę, która uważa, że może za nią decydować i jej rozkazywać. Zupełnie jak Przemądrzała. Jest tylko o trzy lata starsza ode mnie, a zachowuje się tak, jakby wszystkie rozumy pozjadała. Rządzi się w moim pokoju jak we własnym. Rok temu nie spodobała jej się niebieska farba, którą wybrałam do pomalowania ścian. Podobno nie była wystarczająco ekologiczna i zawierała VOC, LZO i chrom. Co mnie obchodzi jakieś VOC i coś tam jeszcze! Kolor był piękny! Już sobie wyobrażałam moje obrazki na błękitnych ścianach, kiedy mama przyznała rację Przemądrzałej i kupiła farbę innego producenta. Co z tego, że też jest niebieska, ale mniej niebieska niż tamta! Innym razem prawie namówiłam tatę na kupno nowego tabletu. Stary ma już dwa lata i porysowaną obudowę, a do tego Olka od miesiąca przechwala się w szkole najnowszym iPadem. Przecież nie mogę być gorsza! I wtedy wkroczyła Przemądrzała... Zrobiła półgodzinny wykład o elektrośmieciach, które wywozi się na dzikie wysypiska do lasu, a nawet do Afryki. Opowiadała tacie o szkodliwości ołowiu, rtęci, kadmu,

manganu... A na koniec dołożyła jeszcze kilka zdań o zatruciach, chorobach nowotworowych i możliwości śmierci ludzi i zwierząt. Wariatka po prostu! Jak stary tablet może zabić kogokolwiek! Ale tata potraktował ją poważnie i nie dostałam nowego sprzętu...

Wczoraj z kolei pokłóciłyśmy się przy wyrzucaniu śmieci. Mama poprosiła o wyniesienie do śmietnika niepotrzebnego kartonu. Spieszyłam się do szkoły, więc wrzuciłam to pudło do pierwszego pojemnika z brzegu, tego zielonego. I wtedy usłyszałam lament Przemądrzałej. Krzyczała, że jestem nieodpowiedzialna, niemądra i nie szanuję planety, która jest naszym wspólnym domem. Wydzieraa się tak, że pół osiedla ją słyszało. Nawet głucha sąsiadka z parteru wyjrzała przez okno, kiedy Przemądrzała głośno pouczała mnie, że do produkcji papieru potrzebne jest drewno, a drewno to drzewo, które trzeba wyciąć w lesie. Drzewo rośnie kilkadziesiąt lat i jest miejscem życia dla wiewiórek, ptaszków, motylek i robaczek... Robaczek! Ale wymyśliła! I ona sądzi, że jest mądra? Ekofanatyczka i ekoterrorystka w jednym! Przez całą drogę do szkoły gadała o segregacji śmieci i przez to spóźniłam się na matkę.

Jutro sobota. Może mama nie zajrzy do mojego pokoju... Choć to pewnie próżna nadzieja. Przemądrzała jej przypomni i jeszcze złośliwie doradzi, żeby sprawdziła porządki w szafie, a nawet pod łóżkiem. Soboty są takie męczące! Czasem wołałabym szósty dzień z rzędu iść do szkoły. Chyba pójdę już spać. O nie! Jeszcze się nie umyłam! Przemądrzała znowu będzie pukać co pięć minut do łazienki i skarżyć rodzicom, że nie oszczędzam wody, prądu i gazu.

Wreszcie jestem sama w moim pokoju. Przemądrzała już śpi. Zawsze kładzie się do łóżka wcześniej ode mnie. Potem się chwali, że chroni planetę, bo ogranicza zużycie prądu. Ostatnio wymądrzała się jeszcze na temat zanieczyszczenia planety światłem. Ale się uśmiełam! Światło szkodzi! Niby komu? Chyba tylko rodzicom, którzy muszą płacić rachunki za prąd. Ja w każdym razie nie zamierzam się tym przejmować. Włączę tablet, schowam się pod kołdrę i obejrzę odcinek „Z archiwum X”. Może agenci Mulder i Scully wreszcie spotkają kosmitów? Co to? Ktoś puka w okno?

Włamywacze? To niemożliwe, przecież mieszkamy na drugim piętrze... Strach paraliżuje mnie od razu.

– Tu KSE! Proszę otworzyć! – słyszę zza okna. – Tu agenci KSE! Proszę otworzyć w imieniu prawa międzygalaktycznego!

No tak, to pewnie Piotrek z trzeciego piętra chce mi zrobić kawał. W poniedziałek cała szkoła będzie wiedziała, że się przestraszyłam, a to był tylko głupi dowcip. Ale to co widzę za oknem zaskakuje mnie całkowicie. Na balkonie stoją dwie bardzo wysokie i chude postacie. Dodatkowo całe zielone i lekko świecące. Jedna z nich przykładą do okna długi palec i drzwi balkonowe otwierają się w magiczny sposób.

– Prosimy o zachowanie spokoju. Jesteśmy agentami Kosmicznej Straży Ekologicznej – mówi pierwsza postać.

– Otrzymaliśmy zawiadomienie, że w tym domu znajduje się osoba, która nie dba o środowisko – dodaje druga.

– Czy to jakiś dowcip? To Piotrek z 5a was przysłał? I nagle doznaję olśnienia. A może Przemądrzała? Tak, to na pewno ona! To przez te wczorajsze śmieci, których nie posegregowałam.

– Nie segregujesz śmieci – stwierdza jeden z przybyszy.

– To przyznanie się do winy – ocenia mnie jego towarzysz.

Brakuje mi tchu. Właśnie uświadamiam sobie, że to są prawdziwi kosmici! Względny spokój odzyskuję dopiero po kilku chwilach.

– To nie tak. To Przemądrzała nie segreguje śmieci! Sama widziałam – oskarżam siostrę, bardzo się przy tym jękając, i dodaję jeszcze:

– Ten Piotrek z 5a też nie segreguje odpadów.

– Nie oszukuj nas – ostrzega pierwszy kosmita – przecież sama się przyznałaś. Pokażemy ci, co się dzieje z istotami, które nie szanują swojej planety. Zabieramy cię na reedukację ekologiczną na planetę Z4532.

Po tych słowach pokój wypełnia jasne światło, a moje ciało bezwładnie unosi się ku górze. Całą drogę na planetę Z4532 rozmyślam o rodzinie i reakcji mamy, która nie znajdzie mnie rano w moim pokoju. Czas chyba się zatrzymał, bo po zaledwie kilku minutach agenci KSE oświadczają, że jesteśmy na miejscu. Moim

oczom ukazuje się przerażający widok. Przez okno pojazdu kosmicznego oglądam powierzchnię obcej planety. W dole płyną rzeki wypełnione różową, spienioną mazią wymieszaną z różnymi odpadkami. Lecimy na dużej wysokości, ale nawet tutaj czuję obrzydliwy smród. Łąd usiany jest wielkimi hałdami śmieci, spod których również wypływa cuchnąca maź. Nie widzę domów, ani żadnych innych budowli. Wśród hałd kręcą się kosmici. Chyba w poszukiwaniu pożywienia. Okropnie mnie mdli na samą myśl o zjedzeniu czegoś pochodzącego z tej planety. Odczuwam współczucie dla wszystkich istot, które muszą żyć w takich warunkach.

– Co tu się stało? – pytam.

– Kiedyś planeta Z4532 była równie piękna jak twoja Ziemia – odpowiada kosmita kierujący pojazdem.

– Niestety jej mieszkańcy nie wykazali się rozsądkiem i szacunkiem dla planety, która jest ich wspólnym domem – kontynuuje jego kolega. – Szybko zniszczyli cały jej ekosystem. Zatruli rzeki, w których wyginęły wszystkie wodne zwierzęta. Zanieczyścili gleby i zniszczyli roślinność, stanowiącą ich pożywienie. Teraz wdychają toksyczne opary i mieszkają na górach śmieci. Chorują i nie ma dla nich ratunku, bo ich planeta umarła.

– To straszne! – krzyczę przerażona. – Nie chcę, żeby Ziemia tak wyglądała!

Po kilku przelotach nad planetą Z4532 kosmici z KSE postanawiają zabrać mnie z powrotem do domu. W chwili, kiedy mamy już wlecieć w ziemską atmosferę, na pulpicie sterującym zaczyna migać czerwona lampka.

– Czy wszystko jest w porządku? – zaniepokojona pytam agentów.

– W naszą stronę leci mnóstwo kosmicznych odpadów, które orbitują wokół Ziemi – odpowiada obcy, siedzący przy sterze, i dodaje uspokajającym tonem:

– Spokojnie, przeszkolono nas na wypadek takich sytuacji. Nie ma się o co martwić.

Zgrabnie omijamy kosmiczne śmieci. Zauważam jednak, że na niektórych z nich znajdują się napisy „NASA” i „CCCP”, a nawet jakieś chińskie znaki.

– Czyli te śmieci, krążące na orbicie ziemskiej, też pochodzą z Ziemi – myślę ze smutkiem.

Nadchodzi czas pożegnania z miłymi agentami z KSE.

– Jednak Przemądrzała ma rację – niechętnie przyznaję... i nie przesadza z tą ekologią.

– Tak, ma rację – potwierdza jeden z kosmitów, a potem mruga do mnie porozumiewawczo i dodaje:

– U niej byliśmy trzy lata temu.

Śmieję się wesoło, a kiedy patrzę ponownie w stronę kosmitów, już ich nie ma.

Rano wstaję pierwsza. Idę wyrzucić śmieci. Tym razem szklane słoiki wrzucam do zielonego kosza, a pudełka do niebieskiego. Przygotowuję wszystkim na śniadanie sałatkę z ekologicznych warzyw i owoców. Po posiłku ruszam do łazienki, aby się umyć. Tym razem zajmuje mi to jedynie pięć minut.

Cała rodzina jest zaskoczona moim zachowaniem, ale ja tylko wzruszam ramionami i biegnę posprzątać swój pokój.

**Aleksandra Chłopek (Lawenda 2), kl. 6
Gminny Zespół Szkół w Skarbimierzu**

Pozytywka

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami... Oczywiście żartuję. Każda baśń w stylu „Jasia i Małgosi” tak się zaczyna, ale to nie jest opowiadanie tego typu. Więc zacznę jeszcze raz...

To był ponury, listopadowy wieczór. Lekko kropało, było zimno, ciemno i nieprzyjemnie. Wiatr wlatywał Róży za kołnierz kurtki.

– Na szczęście już blisko do domu – pomyślała dziewczynka i opatuliła się bardziej swoim szalikiem.

Nagle zauważyła starszą panią. Pochylała się nad chodnikiem i coś mamrotała pod nosem. Róża wytężyła wzrok. Okazało się, że starszuszka zbiera zakupy, które wysypały jej się z torby. Dziewczynka podeszła bliżej.

– Pomóc pani? – zapytała.

Starowinka podskoczyła.

– Tak, tak – wymamrotała. – Zakupy mi się wysypały, a ja nie mam siły tego pozbierać...

– Oczywiście, nie ma problemu – uśmiechnęła się Róża i po chwili podała pełną już torbę starszej pani.

– Dziękuję, młoda panno – odezwała się staruszka. – Jako dowód mej wdzięczności przyjmij tę oto pozytywkę – wyciągnęła przedmiot z torby. – Tu ją nakręcasz – pokazała korbkę – a tu gra melodia.

– Ale nie trzeba – próbowała protestować Róża, lecz staruszki już nie było.

Gdy Róża wróciła do domu, wyciągnęła pozytywkę z plecaka.

– Hmm... – odezwała się do siebie dziewczynka. – Nie wiem po co mi to, ale postawię na półce. Ładnie wygląda i może rzeczywiście mi się przyda...? Jak pomyślała, tak zrobiła i po chwili jej półkę zdobiła piękna pozytywka. Nagle w jej głowie odezwał się jakiś głos. Mówił:

– Wypróbuj pozytywkę... Wypróbuj...

Róża się wzdrygnęła. – Co to było?! Nie będę nic próbować – postanowiła i położyła się do łóżka.

Jednak nie mogła zasnąć – męczyła ją myśl o pozytywce.

– Wypróbuję – pomyślała – tylko raz.

Zakręciła korbką. Z pozytywki wydobyła się melodia. Ale nie zwyczajna. To była najpiękniejsza melodia, którą dziewczynka słyszała. W żadnym języku nie istnieją słowa, które choć w połowie mogłyby oddać to, co czuła wtedy Róża. Wtem dziewczynce zakręciło się w głowie, ziewnęła i... zasnęła.

Nagle się obudziła. Nie miała pojęcia gdzie jest, lecz na pewno to nie był jej pokój.

Siedziała na drewnianej ławce, na której stał kałamarz z atramentem, pióro i czarno-biała książka, otwarta na obrazku przedstawiającym bitwę pod Grunwaldem.

– Petronelo – odezwał się zimny kobiecy głos. – Czy ty śpisz?

Róża podniosła głowę. Szczupła pani, ubrana dość skromnie (w czarną sukienkę i czarne balerinki) wpatrywała się w nią.

– Powtórzę jeszcze raz: czy ty śpisz? Na lekcji?

– Co? Ja? – spytała niezbyt pewnym głosem Róża. – Ja nie nazywam się Petronela, tylko Róża i... gdzie ja jestem?

Reszta klasy zaczęła się śmiać.

– To tylko dowodzi, że spałaś. Jesteś w szkole PETRONELO, a róża to kwiat. Kwiat, nie imię. Za karę zostaniesz po lekcjach i będziesz pisać sto razy „Nie będę spała na lekcji”.

– Co? Ale ta metoda była stosowana już dawno temu. I co to za starodawna szkoła? Gdzie mój pokój i...

– Stop – nauczycielka spojrzała surowo na dziewczynę. – Jest, Petronelo, 1920 rok, twój pokój jest w twoim domu, który, na wypadek gdybyś zapomniała, jest naprzeciwko kowala i proszę cię nie wydziwiał, bo poniesiesz surowszą karę, niż napisanie kilku zdań.

– Właśnie, Petra! – krzyknęła jakaś dziewczynka w warkoczu. – Nie wydziwiał!

– Tereso – nauczycielka przeniosła wzrok na dziewczynę. – Czy naprawdę będę zmuszona przejść się dzisiaj do twoich rodziców?

– Nie, psze pani – skuliła się dziewczyna.

– Co powiedziałaś? – spytała bezlitośnie wychowawczyni.

– Nie, będę grzeczna i...

Róża więcej nie usłyszała, bo znów zasnęła.

Obudziła się w swoim pokoju.

Siedziała na łóżku, a w rękę trzymała pozytywkę.

– Co się stało? Czy ja zasnęłam? Czy to był sen? – takie myśli kłębiły się w jej głowie jeszcze przez chwilę, a potem dziewczynka zdecydowała, że nakręci przedmiot jeszcze raz.

I znów zagrała ta piękna melodia. Dźwięki wydobywały się z pozytywki jeden po drugim, każdy kolejny był piękniejszy od poprzedniego. Róży zakręciło się w głowie i znów zasnęła.

Tym razem obudziła się w całkowitej ciemności.

– Gdzie ja jestem? – spytała.

– Cii... – szepnął jakiś chłopak. – Bądź cicho. Niemcy idą na górze.

Róża była więc cicho. Po jakimś czasie, gdy jej oczy przyzwyczaiły się do ciemności, zauważyła, że chłopak ma na sobie coś na kształt

harcerskiego munduru. Spojrzała w dół. Na sobie miała taki sam strój. Wokół stało też kilka osób ubranych identycznie.

– Strasznie tu śmierdzi – pomyślała Róża. – I jest bardzo wilgotno.

– No, już – powiedział w końcu chłopak. – Poszli! Lila, następnym razem uważaj bardziej, prawie nas zdradziłaś. Wiesz przecież, że nas szukają... Co gdyby cię usłyszeli?

Róża zorientowała się, że chłopak mówi do niej.

– D... dobrze – odezwała się bardzo wystraszona dziewczyna. – Ale gdzie ja jestem?

– Jak to gdzie? – zdziwił się nieznajomy. – W kanale.

– Co ja... my robimy w KANALE?!

– Lila, dobrze się czujesz? – zapytała jakaś dziewczyna. – Ukrywamy się przed Niemcami.

Róża była na skraju rozpacz:

– Poczekajcie... MUSZĘ to przetrwać... Który mamy rok?

– Lila... 1944... na pewno wszystko w porządku? Może...

– Mamy wojnę, tak?! – przerwała jej Róża.

– Noo... tak... – powiedział chłopak, po czym zwrócił się do pozostałych. – Może ta rana na czole coś jej pomieszała?

– NIE. Ja, jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, jestem z przyszłości. I mogę wam co nieco poopowiadać... Jeśli chcecie, oczywiście.

– Wiecie, to skaleczenie chyba naprawdę jest groźne – odezwał się jakiś inny nieznajomy. – Ale niech mówi, posłuchamy.

I Róża, którą fascynowała historia, i mogła teraz wykazać się swoją wiedzę, zaczęła:

– Kojarzycie może drużynę o nazwie „Pomarańczarnia”?

– Lila, my w niej jesteśmy – odpowiedziała dziewczyna.

– Tak? To świetnie. Czyli znaliście Rudego? I Alka?

Chłopak pociągnął nosem. – Moi przyjaciele... – szepnął.

– Czy TY jesteś Zośka?! – krzyknęła z zachwytem Róża.

– Tak... Naprawdę zaczynam się martwić... Ty nic nie pamiętasz!

– Dobrze, dobrze – Róża lekceważąco machnęła ręką. – A więc mam dla was BARDZO ważną informację. Powstanie przegracie i Warszawę zrównają z ziemią!

– Och, to okropne. Jak oni mogą?! – wtrąciła się jedna z dziewczyn.

– Ela, przecież ona nie może tego wiedzieć – powiedział Tadeusz.

– Majaczy i tyle.

– SŁUCHAJCIE – Róża była na granicy cierpliwości. – Ja mówię poważnie. Wojnę wygracie. Ty – wskazała na Zośkę – i twoi koledzy, Rudy i Alek, będziecie sławni... Jeśli można tak to określić. Aleksander Kamiński wyda o was książkę „Kamienie na szaniec” i będzie ona lekturą w szkole. Natomiast... – dziewczyna nie dokończyła, bo znów zasnęła.

Oczywiście obudziła się w swoim pokoju.

– Nie wiem, jak to możliwe – myślała na głos Róża – ale chyba podróżuję w czasie... Nie, to nie możliwe. To musi być po prostu sen. Zwykły sen. Z drugiej strony, zawsze o tym marzyłam... To chyba dobra okazja, żeby zobaczyć jak żyło się w dawnych czasach. To sen, ale trzeba z niego korzystać, bo skoro to sen i nie dzieje się naprawdę, to nic nie może się stać. A więc...

Dziewczyna nakręciła pozytywkę.

I znów popłynęła ta piękna melodia, a Róża zasnęła.

Tym razem obudziła się w czyimś domu. Siedziała na fotelu, a obok była jakaś młoda pani.

Miała długie, brązowe włosy i jasnoniebieskie oczy, a ubrana była w kolorową spódnicę i brązowe kapcie. Uśmiechała się przyjaźnie do dziewczyny.

– Witaj, Rózo – odezwała się. – Pewnie zastanawiasz się kim jestem, jak działa pozytywka i te inne sprawy, których ja również byłam ciekawa, gdy spotkałam się po raz pierwszy z tym intrygującym przedmiotem. Ciii... – powiedziała, gdy zobaczyła, że Róża chce coś powiedzieć. – Wszystko ci wyjaśnię. Nie mamy za dużo czasu. Zacznę od początku. Pamiętasz starszą panią, która dała ci pozytywkę? Zresztą, co za pytanie, oczywiście, że pamiętasz. No więc, ja jestem tą panią. Jak już zauważyłaś, ta melodia, która wypływa z pozytywki, usypia, a po obudzeniu jesteś w zupełnie innym miejscu, zupełnie w innym czasie, a wszyscy biorą cię za kogoś innego. Otóż, pozytywka przenosi cię do innych lat, przez

chwilę jesteś inną osobą, która kiedyś rzeczywiście istniała, na przykład Petronelą w szkole. Niestety, nie można kontrolować jaką jesteś osobą i w jakim roku się obudzisz, lecz można kontrolować, na ile się tam przenosisz. Jest to bardzo proste, przenosisz się na tyle minut, ile razy będziesz kręcić korbką w przedmiocie. Jakies jeszcze pytania?

– Tak! – krzyknęła dziewczyna. – Dlaczego pani mi ją dała, dlaczego nie wytłumaczyła mi jak to działa?! Czy jest jakiś limit, ile razy mogę się gdzieś przenieść? Czy można kilka razy przenieść się w to samo miejsce, stać się jakimś człowiekiem kilka razy, a jeśli tak, to czy za każdym razem będzie to ta sama scena, wydarzenie, czy będzie jakaś inna? Dlaczego, skoro wynaleziono podróżowanie w czasie, nikt o tym nie wie? Kto właściwie wynalazł tę pozytywkę? A może wszystkie mają taką moc? Czy to podróżowanie jest niebezpieczne? Czy mogę się nie obudzić lub stać się, na przykład, marynarzem na tonącym statku? Czy jeśli umrę w trakcie, gdy będę w innym czasie, to umrę naprawdę?

– Och, Rózo... – powiedziała nieznajoma. – Jesteś bardzo ciekawską dziewczynką... Przypominasz mi mnie, kiedy byłam w twoim wieku. Mówiłam, że nie mamy za wiele czasu. Teraz musimy się pożegnać... Pa pa, Rózo... Do widzenia... Żegna...

Głos nieznajomej urwał się, gdy dziewczyna obudziła się w swoim łóżku. Budzik dzwonił jak oszalały, a zegar wskazywał 7.30.

– O nie, spóźnię się na autobus – pomyślała, ubierając w pośpiechu skarpetkę. – A ta cała pozytywka musiała mi się przyśnić – stwierdziła.

Nagle jednak zauważyła coś niepokojącego. Na półce pomiędzy książką „W pustyni i w puszczy” a zapachową świeczką, którą dostała od babci na urodziny, leżała pozytywka. Ta sama, którą dostała od starszej pani.

Czy przygody Róży były snem?

Nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Sądzę, że to jednak prawda. A ty?

Kategoria II

Szkoły podstawowe klasy 7-8

Wiersze 1 miejsce

45 Nikola Mozgawa: *Hejt*

2 miejsce

45 Maja Adamczyk: *Od jutra*

3 miejsce

46 Julia Jakubowska: *Nie znikaj*

Wyróżnienia

47 Andrzej Dechnik: *Wzruszenie*

47 Antonina Mrowiec: *Być aniołem*

48 Olivia Hadzińska: *Ból*

49 Martyna Pasek: *Pytania*

49 Wiktoria Wotszel: *Zazdrość*

Opowiadania

1 miejsce

50 Dominika Kowal: *Czas fortepianu*

2 miejsce

55 Antonina Stańczyk: *Życie w galaretkce*

3 miejsce

57 Jakub Szul: *Cel uświęca środki*

Wyróżnienia

68 Jan Goli: *Okulary czasu*

70 Kacper Kabziński: *Jestem bogiem*

73 Olivia Hadzińska: *Ateista i Anioł*

77 Urszula Bałuta: *Wyjście z mroku*

Nikoła Mozgawa (Moznik), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Hejt

Słowa krwawiące nienawiścią
podcinają skrzydła
młodości
Bolą
depczą z nienawiścią celę serca
bez opamiętania
Po omacku upadają marzenia
zmoknięte
łzami rozpaczy
Poduszka płacze ze mną
Jestem samotna
Nawet bosonogie anioły milczą

Maja Adamczyk (Księżniczka), kl. 8
Szkoła Podstawowa w Chełmcach

Od jutra

Od jutra będę tańczyć tak,
jakby zaraz miał się skończyć świat.
Od jutra będę śpiewać tak,
jakby w moim sercu mieszkał wolny ptak.
Od jutra będę śmiać się tak,
jakby wszystkie troski uleciały w dal.
Od jutra będę żyła tak,
jakby życie miało czekolady smak.
Od jutra...

Julia Jakubowska (Lawenda), kl. 8
Szkoła Podstawowa w Chełmcach

Nie znikaj

Tak, już rozumiem,
co znaczą słowa niegdyś zasłyszane,
że przyjaciela poznam, gdy się ode mnie odwróci
albo nie odwróci właśnie i poda rękę, gdy upadnę.

Rękoma rozgarniam wiszące nad głową pajęczyny.
To nie takie proste pisać wiersz o kimś,
kto był,
był...,
był... – i zniknął.

Kto złożył obietnicę, że będzie, a potem zranił.
Gęsto utkane nici wspomnień
nie chcą się poddać.
Powracają wspólne chwile – świat piękny jak z obrazka:
wieczory wypełnione dyskusjami,
nigdy niekończące się tematy,
zachody słońca rozświetlone blaskiem ogniska
i skrzydła, na których wspólnie się wzlatuje
ponad marność świata.

Próbuję uciec wspomnieniom.
Są wszędzie – wychodzą z cienia i szepczą:
Chcesz ruszyć z miejsca – zrób to teraz...

Szukam przyjaciela,
który z rozbitych kawałków ułoży mnie na nowo.
Od teraz – na zawsze.

Andrzej Dechnik (A.D.), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa
w Krzeszowie Górnym

Wzruszenie

Niegasnące barwy granatowe i trochę różane.
Cień twoich rzęs na okładce książki.
Słowa prosto z serca do ucha szeptane,
są tak bardzo cenne jak złote pieniądze.
Słone łzy rysują bladość twych policzków,
choć walczysz dzielnie aby nie płynęły.
W oczach tli się szczęście i nic już nie zmienisz,
że w ciągu minuty złe tamy runęły.
Usta rozchylone jakby krzyczeć chciały,
ale żadne dźwięki ich nie opuszczają.
Tylko kosmyk włosów aż nazbyt zuchwały,
zakłóca jej portret szukając pochwały.
I kiedy tak patrzę to jestem bezradny,
bo chciałbym ten obraz zatrzymać na zawsze.
Ale czas zabójca jest nieprzejednany
i zaciera szczęście zanim się napatrzę.

Antonina Mrowiec (Brzózka), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Być aniołem

Chciałabym być aniołem w szpilkach niebiańsko wysokich
w sukience w krzywe serduszka
z czapką na bakier
z fryzurą rozwietrzoną
z twarzą bez retuszu
Dlaczego?

Bo tam w niebie wieczne szczęście
Bo tam anioły nic nie muszą
Bo tam nikt już nic nie gdera
Bo tam można być sobą

Olivia Hadzińska (Lirycus), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 6 w Myszkowie

Ból

Jaki kolor ma ból?
Bo jaki ma dźwięk – to wiem.
Słyszę go w kroplach
wpadających w krwioobieg.
Może ból jest zwyczajnie
szarobury,
gdy wyje z niemocy
spierzchniętych błaganiem ust.
Czy może być indygo?
Nie...
rozrywa go skrzek budzika
o świcie.
Ból nie ma koloru
on jest przeźroczysty
jak twoja i moja samotność.

Martyna Pasek (Ogródek), kl. 8
Podstawowa Ekologiczna Szkoła Społeczna
w Rumii

Pytania

dokąd pan idzie panie głazie?
idę do czasu
dokąd pan leci panie ptaku?
lecę do ziarna
dokąd pan pada panie śniegu?
padam do ziemi
co u pana słyszeć panie człowieku?
dziękuję nie narzekam

Wiktoria Wotszel (Wikwot), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Zazdrość

Spojrzałam
z obłędem w oczach
w nieskazitelną XS nieznajomej
Sukienka pasowała jak ulał

Skarciłam
z niemym niepokojem
moje XL
Sukienka odeszła w zapomnienie

Biorę się za swoje XL
zazdrość zwyciężyła

Dominika Kowal (Nutka2), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 1 w Lubaczowie

Czas fortepianu

Jedziemy do szkoły muzycznej, a w tle słychać cichą piosenkę Adele: *Let the sky fall when it crumbles we will stand tall face it all together*. Dojeżdżamy pod wielki budynek, szary, dostojny, z białymi zdobieniami. Wchodzimy, a tam!? Zdumienie – cisza. Ludzi jest bardzo niewiele. Ta szkoła różni się od podstawówki. Pod jedną ścianą stoi dwuosobowa biała kanapa, na środku trzy fotele i szklany stół, a na podłodze szary dywan. Obok za brązowym biurkiem siedzi starsza pani. Każe nam kierować się w prawo, prosto korytarzem i do szatni. Mama pomaga mi ściągnąć kurtkę. Jedziemy windą na drugie piętro i wchodzimy do sali pani od fortepianu. Czuję dziwny zapach, nie podoba mi się. W rogu stoi duży fortepian, a zaraz koło drzwi biurko, są też trzy fotele i kwiatek na parapecie.

– O, dzień dobry państwu. Zapraszam, proszę siadać. Witam moją nową uczennicę. Jak masz na imię?

– Alina.

– Cudownie. Ustalmy plan zajęć. Informuję, że córka będzie miała lekcje fortepianu dwa razy w tygodniu, do czwartej klasy trzydzieści pięć minut, a później do szóstej klasy sześćdziesiąt minut. Dodatkowo, w ciągu tygodnia cztery godziny teorii, w tym dwie kształcenia słuchu i tyle samo rytmiki. Oprócz tego, jeżeli dziecko będzie wykazywało wyższe umiejętności, zostanie zapisane na zespół rytmiczny... Przestaję słuchać. – W szóstym roku nauki w szkole Alina zagra pięć utworów przed komisją i jeden przed widownią, oprócz tego napisze dwugodzinny egzamin z kształcenia słuchu i audycji muzycznych. Godziny lekcji fortepianu ustalamy razem, a plan teorii mogą sobie państwo zobaczyć na stronie szkoły. Uff!... zmęczyłam się tym tłumaczeniem.

– Czy mają państwo jeszcze jakieś pytania?

– Nie.

– To dobrze, w takim razie przejdźmy do ustalenia terminów zajęć.

Dwie godziny później siedzę w swoim pokoju i rozmyślam o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Obawiam się lekcji instrumentu. Co, jeżeli nie polubię tej pani? Jeśli okaże się niemiła? A jeżeli nie znajdę sobie koleżanek? I jeszcze do tego lekcje w zwykłej szkole...

– Ach! Co to będzie! – krzyczę już na głos i włączam swoje małe radio. Rozbrzmiewa wesoła melodia piosenki „Lemon Tree”: *I’m sitting here, in a boring room It’s just another rainy Sunday afternoon I’m wasting my time, I got nothing to do...* Zaczynam kręcić się wkoło i tańczyć po pokoju.

*

– Pora wstawać! Dzisiaj kolejny, cudowny dzień w szkole. „Wstawaj, szkoda dnia...” – wyśpiewuje a cappella mama, mieszając jajecznicę.

Upłynęło piętnaście minut, a ja nie schodzę na śniadanie, więc tato postanawia obudzić mnie muzyką. Siada do pianina i zaczyna grać przerażającą melodię, której nie znoszę. Natychmiast zrywam się z łóżka i krzyczę, aby przestał.

– Wreszcie wstałaś. Wiem, jak kochasz muzykę! – Jest wyraźnie z siebie zadowolony.

*

Alina powoli poznawała obie szkoły. W podstawówce zaprzyjaźniła się z Leną, a gdy do ich klasy dołączyła nowa dziewczynka Sonia, polubiły się i stały zgraną paczką. Jednak często, gdy Lena i Sonia umawiały się w domu jednej z nich, Alina zazwyczaj nie mogła się z nimi bawić, ponieważ miała zajęcia w szkole muzycznej. Nie mogła w lecie po lekcjach wyjść na podwórko, pobiegać, bo musiała iść na fortepian i teorię. Jakby tego było mało, to okazało się, że nie bardzo lubi swoją panią i przez to na lekcje często chodzi z wielką niechęcią. W domu też musi ćwiczyć minimum godzinę. Im stawała się starsza, tym bardziej było to uciążliwe.

*

Pięć lat później

– Głośniej, forte! A teraz powoli ściszej, decrescendo iii... pedał CRESCENDO! Puść pedał, forte fortissimo pedał iii... wyciszaj, staccato, teraz piano i puść. Podnieś ładnie ręce, opuść na kolana i koniec. Dobrze, etiudka ładnie, a teraz zagraj mi sonatinę.

Zaczynam grać.

– Ale STOP! STOP! STOP! Co to było?! Na pewno tam tak nie jest. No pewnie, tu są ósemki, a ty grasz szesnastki, jeszcze raz od początku. Raz ta i ta dwa ta i ta trzy ta i ta cztery ta i ta. Licz sobie na głos, proszę jeszcze raz. Trzaśnięcie ręką w stół.

– STOP! Ja nie będę tego słuchać. Proszę inny utwór! Ten, gdy się nauczysz, to mi zagrasz.

Alina miała ochotę po prostu wybiec z sali i nigdy tam nie wracać. Lubiała jedynie chodzić na teorię, spotykała tam wielu znajomych. Chociaż oni ją rozumieli. Jesteśmy tacy podobni – myślała – łączą nas zmaganie się z tymi samymi problemami. Każdy z nas jest w jakiś sposób inny od „tamtych” (ludzi, którzy nie chodzą do szkoły muzycznej). Tworzymy odrębne środowisko, inny świat... Dlatego czasem miała wrażenie, że nawet Lena i Sonia jej nie rozumieją.

*

Idę do szatni, przebieram się szybko – teraz do muzycznej. Piotr, mój kolega, patrzy przyjaźnie.

– Hej Alina, co teraz? Molowanie i durowanie?

Uśmiecham się, bo w mojej muzycznej rodzinie podobne teksty to norma.

– Narka Bemolko – żegna się ze mną klasowy wesołek.

– Phi – marszczę nos – to już stare jak świat. Mojego brata nazywano Bemolem w podstawówce, a ma już 20 lat.

– To jak cię nazywać? – Nie odpowiadam. Macham ręką i znikam za drzwiami.

*

Leon ma krótkie włosy i niebieskie oczy. Lubię jego styl. Jest jak kolorowy ptak – prawdziwy Kakofon. Teraz biegnie w moją stronę krzycząc.

– Gama, poczekaj na mnie!

Czekam.

– Co teraz mamy?

– Kształcenie słuchu. Nienawidzę tego przedmiotu.

– Ja też nie, kobieta jest totalnie molowa.

– He, he – fakt, zawsze ponura... Za to ty jesteś w stu procentach durowy – odpowiadam, patrząc w piękne oczy Leona.

– A ty jaka jesteś?

– Hmm, myślę, że raz dur, a raz moll...

Uśmiechając się, lekko wkraczamy do sali.

*

Czwartek, kolejna lekcja fortepianu. Tym razem starałam się nauczyć tej nieszczęsnej sonatiny. Może pani na mnie nie nakrzyczy. Wchodzę do sali i znów czuję ten dziwny zapach.

– Dzień dobry.

Pani nie odpowiada, jest zajęta innym uczniem. Minor stoi cały w pąsach, więc chyba nie poszło mu dobrze.

Siadam na jednym z krzeseł i czekam. Dziewczyny w piątek po lekcjach idą na miasto, ja nie mogę oczywiście, bo mam teorię. Ech, jak zwykle... W końcu pani żegna się z moim kolegą i zwraca uwagę na mnie.

– Proszę, proszę siadaj. Rozgrzej ręce gamą. Hmm, może A-dur?

Gram gamę.

– Dobrze, teraz rozbieżnie i zbieżnie.

Gram gamę rozbieżnie i zbieżnie.

– Akordy.

Gram akordy.

– Pasaż z zakrętem.

Gram to, co każe.

– I pasaż długi.

Gram pasaż długi.

– I na koniec gama chromatyczna.

Gram gamę chromatyczną.

Skończyłam. Cisza. Pani coś grzebie w komputerze.

– No dobrze, to jaki chcesz utworek?

Wskazuję na sonatinę.

– O! sonatina, no dobrze, mam nadzieję, że umiesz.

Zaczynam grać.

Spokojnie, tak jak ćwiczyłaś, nie stresuj się – myślę. Z transu wyrywa mnie uwaga pani.

– Teraz mezzo piano, powooli, spokoojnie, perdenosi – milczenie.

– No gratuluję, widzę, że wreszcie się nauczyłaś. Możesz być spokojna o popis. Nasza lekcja dobiegła końca.

Pakuję rzeczy i wychodzę.

– Si Mi La Re Sol Do Fa – żegna się ze mną pani.

– Si Mi La Re Sol Do Fa – odpowiadam.

*

Trzyście lat później

Skończyłam szkołę muzyczną pierwszego i drugiego stopnia. Skończyłam studia muzyczne. Teraz będę startować w Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina. Osiągnęłam to, co wydawało mi się przez lata nieosiągalne.

Czekam na swoją kolej. Trochę się stresuję. Słyszę brawa dla mojego poprzednika. Zaraz wychodzę. Opuszczam garderobę. Widzę skierowane na mnie kamery. Rozlega się zapowiedź. Wchodzę na scenę. Czekałam na ten moment całe życie. Brawa, kłaniam się i siadam przy fortepianie.

Spokojnie, dasz radę – mówię sobie. Powoli unoszę dłonie i kładę na klawiaturze. Zaczęło się, stąd nie ma już odwrotu.

W sali rozbrzmiewa Polonez A- dur Op. 40 Nr 1

Antonina Stańczyk (Stokrotka13), kl. 7
Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 4 w Poznaniu
Życie w galaretkce

Wiele osób zastanawia się, czy Ziemia jest jedyną zamieszkaną dotąd planetą. Jednak nie... Gdzieś, dokładnie nie wiadomo gdzie, znajduje się Galary 127. To ciało niebieskie o bardzo dziwnej historii. Naukowcy przypuszczają, że... A zresztą, przeczytajcie sami.

Dawno, dawno temu, w równoległej rzeczywistości, nie było nic. A właściwie – nic, oprócz galaretki. Ale nie takiej zwyczajnej. Miała ona bardzo dziwną, dość płynną konsystencję i mieniła się wszystkimi kolorami tęczy: od czerwieni, przez zieleń aż do purpury. Jej zapach także był niezwykle. Lekko pomarańczowy, z mocno wyczuwalną nutą goździków i miłym, fiołkowym podmuchem. Przez jeden dzień w roku, 29 lutego, galaretka stawała się biała. I właśnie tego dnia wydarzyło się coś niesamowitego! Doszło do zmiany klimatu i jedna mała część galaretki zastygła – stała się samotną wyspą. Nowa planeta zdecydowała, że będzie się nazywała Galazie 12. Z biegiem czasu powstało na niej życie. Zupełnie po prostu, ot tak. Powstały Karły. Bardzo małe, miłutkie Karły. Mikrusy zbudowały tam swój własny, miniaturowy kraj. Nie istniały pieniądze. Wszystkim żyło się bardzo dobrze. Karły dbały o swoją planetę, ponieważ wiedziały, że jest ona w pełni świadoma, tak jak oni. Jej duchem była wróżka Jelly – bratnia dusza, rozumiejąca ją w każdym szczególe. Jelly często objawiała się mieszkańcom i informowała o woli „swej pani”. Karły ogromnie ją polubiły i nigdy się jej nie sprzeciwiały. Po kilku latach, 29 lutego, sytuacja się powtórzyła. Tym razem powstała planeta Galrymia 07, którą zamieszkiwały Olbrzymy. Ale nie takie, jakie spotkać można we wszystkich bajkach. Stwory te odznaczały się wyjątkową schludnością i urokiem osobistym. Wyjątkowo radosne i pogodne okazały się istoty, które miały gigantyczne rozmiary. Uwielbiały jedzenie

i spotkania w gronie przyjaciół. Rodzina była dla nich bardzo ważna. Jednak ideały nie istnieją – mieszkańców Galymii cechowało lenistwo. O woli planety Olbrzymy informowane były przez ducha Gelee. Pewnego dnia zamieszkujące sąsiednią planetę Karły ujrzały nowo powstałą Galymię. Wtedy zaszła w nich dziwna zmiana i przestały być niczego nieświadome. Już nie wystarczał im znany dotąd kraj – galaretkowe domki, piękne drzewa z waty cukrowej. Nie zachwycały się potokiem oranżady, cukrowymi pustyniami i mieniącymi się najpiękniejszymi z kolorów lodowymi górami. Ciekawość – oto, co zaświtało w ich głowach. Karły zaczęły zadawać sobie pytania: „Skąd jesteśmy?”, „Co tu robimy?” i – najważniejsze – „Co jest poza naszą wyspą?”. Wielu dociekliwych próbowało sobie na nie odpowiedzieć. Dużo Karłów prowadziło badania w swoich domach, ale marnowały tylko czas. Jeszcze więcej skakało do galaretkowego morza i ginęło w jego wodach na zawsze. Olbrzymy na Galymii – owszem, zauważyły, że nie są w galaretkce same, ale nie podeszły do tego tematu tak filozoficznie. One nadal cieszyły się swoimi domkami z cukierków i lizakowymi drzewami. Nadal zażywały kąpeli w kakaowym jeziorze i zdobywały wafłowe szczyty. Polowały na żelkowe owady, ukrywające się w tortowych jaskiniach. Tak żyło się w galaretkowym świecie. Pewnego zimowego dnia wszechświatem tym wstrząsnął straszny huk. Nagle, zupełnie niezapowiedzianie. Uszy Olbrzymów i Karłów musiały znieść ten okropny hałas. Galazie i Galymia połączyły się ze sobą i powstała wielka planeta – Galary 127.

Pokojowo nastawieni mieszkańcy nie wszczynali bójek ani konfliktów. Zjednoczenie przebiegło pomyślnie! Zaraz, zaraz... Nie do końca pomyślnie. Kawałeczki planet odłamały się i powstało kilka oddzielnych miniplanet. Oj, niedobrze! One toczyły ze sobą wojnę! Nie podobało się to duchom Jelly i Gelee. Wytężyły swoje siły i użyły najmocniejszych ze wszystkich swoich mocy, aby połączyć okruszki w jedną całość. I udało im się! Tak, z tych zupełnie niepozornych odłamków, powstała Ziemia. Nazwa powstała od końcówek słowa Galazie i Galymia. Z połączenia Karłów i Olbrzymów powstałi ludzie. Galaretką, w której pływała Ziemia, zaczęła się

rozrzedzać. Niebieska planeta prawdopodobnie przepłynęła przez specjalny portal, który zmienił ją nie do poznania. Zamiast słodczy i galaretki znajdziemy tu skały i wodę. Nie ma już lizakowych drzew, tylko zielone, a pustynie zamiast cukrem wypełnione są piachem. Góry lodowe nie są już tak słodkie i pyszne jak kiedyś, a cukierkowe domki znajdziemy tylko w bajkach. Kakaowe jeziora pełne są ryb i wody, a o jaskini z tortu możemy tylko pomarzyć. Nie wisimy już w galaretce, ale w powietrzu.

A może gdzieś za portalem wszystko jest nadal takie jak dawniej? Może wciąż znajduje się tam Galary 127, czyli połączone Galazie i Galrymia? Może kiedyś znów portal zostanie dla nas otwarty i staniemy się planetą słodczy? Spotkamy Karły i Olbrzymy? Nigdy nic nie wiadomo...

Jakub Szul (Kubenty), kl. 7
Zespół Szkół Publicznych
Szkoła Podstawowa w Posadzie Górnej
Cel uświęca środki

*Nie masz zbrodni bez kary,
Lecz jeśli szczerą skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.*

Adam Mickiewicz „Ballady i romanse”

Był listopadowy, poniedziałkowy poranek. Nad Bytomiem kłębiły się ciemnogrnatowe chmury, z których padał rzęsy kapuśniaczek. Według prognozy pogody, cały nadchodzący tydzień miał być ponury, dżdżysty i chłodny. W przytulnej kawalerce, mieszczącej się w starej, zabytkowej kamienicy przy ulicy Rycerskiej, snem sprawiedliwego spał jej właściciel, pan Henryk Fiszka. Był to postawny, szczupły, szpakowaty starszy pan, liczący 60 wiosen, o niesłuchanie miłej aparycji i równie przyjemnym usposobieniu. Miał duże lazurowe oczy, a na jego lewym policzku

znajdowała się niewielka blizna – pamiątka po wypadku rowerowym z czasów dzieciństwa. Pan Henryk był dobroduszny, lojalny, sumienny, jego maniery były nienaganne, a swym poczuciem humoru w mig zjednywał sobie przyjaciół, wszyscy sąsiedzi za nim przepadali.

Pan Fiszka, jak co dzień, obudził się punktualnie o godzinie 7.15 i zanim na dobre zaczął się szykować do pracy, jeszcze kwadrans leżał w ciepłym łóżku i z ogromną pasją oraz wypiekami na twarzy czytał kryminał zatytułowany „Noc w bibliotece” autorstwa swojej ulubionej pisarki, niekwestionowanej królowej tego gatunku – Agathy Christie. Od kiedy sięgał pamięcią, jej książki zawsze mu towarzyszyły i nigdy się mu nie znudziły. Ubóstwiał wręcz styl Lady Agathy, suspens, który tak misternie budowała w swych powieściach. Określał go „koronkową robotą”. Nade wszystko szczerą sympatią darzył dwójkę najsłynniejszych bohaterów stworzonych przez nią. Według niego pedantyczny do przesady belgijski detektyw Herkules Poirot był niesamowitym geniuszem dedukcji i postrachem złoczyńców. Podobne zdanie miał o niepozornej, starszej pani – Jane Marple, może nieco zbyt wścibskiej, której bystrość umysłu oraz zdolności śledcze również go zadziwiały.

Po upływie trzydziestu minut, czyli o 7.45 starszy pan przebrał wciągającą lekturę, wstał z łóżka, zarzucił na siebie szlafrok w kolorze turkusowym, założył kapcie i udał się do łazienki na poranną toaletę. Następnie swe kroki skierował do kuchni, gdzie zaparzył sobie filiżankę mocnej herbaty Earl Grey, po czym przygotował proste, ale pożywne śniadanie w angielskim stylu w postaci dwóch tostów z dżemem truskawkowym oraz dwóch jajek na bekonie z fasolką. Usiadł przy niewielkim dębowym stole i nieśpiesznie konsumował smakołyki, zaś jego myśli krążyły wokół zaplanowanego na godzinę 19.00 spotkania ze starymi przyjaciółmi: Wilhelmem Broszką – właścicielem lombardu „Brylant” oraz Gustawem Perełką – dyrektorem Muzeum Górnośląskiego. Spotkanie miało się odbyć w sławetnej restauracji „Pod czapłą” –

szczególnie ulubionym miejscem rendez-vous bytomskiej śmietanki, gdzie serwowano najlepsze dania śląskiej kuchni.

Po śniadaniu Henryk skrupulatnie posprzątał: brudne naczynia włożył do zmywarki, zaś niewykorzystane produkty do lodówki. Lubił porządek i dbał o niego, ale niezbyt przesadnie. Być może był to nawyk z wojska, a być może jego zamiłowanie do czystości wynikało z tego, iż był starym kawalerem? Tak czy owak, Fiszka wyznawał zasadę, że „porządek musi być”. Zlustrował kuchnię, oceniając jej stan czystości jako bardzo dobry, po czym udał się do garderoby, by się ubrać. Rzecz jasna, ubranie przygotował już poprzedniego wieczoru tak, że spoczywało ono na krześle idealnie ułożone w przysłowiową kosteczkę – błękitna koszula w delikatną kratkę, szary sweter z dekoltem w serek, ciemnobrązowe spodnie, granatowe skarpety oraz orzechowe, skórzane sztyblety. Uzupełnieniem stroju były: beżowy prochowiec oraz czarny welurowy kapelusz w stylu Indiany Jonesa. Do pracy pan Fiszka zwykle ubierał się elegancko, ale cenił sobie wygodę. Nie lubił kravatów, muszek i marynarek, gdyż – jak twierdził – krępowały mu ruchy. Od ponad trzydziestu lat pracował jako bibliotekarz w dziale beletrystycznym Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bytomiu, która mieściła się przy placu Jana III Sobieskiego 3. Kochał swoją pracę, kochał zapach papieru z tysięcy cennych woluminów, kochał obsługiwać czytelników, i – wreszcie, a może przede wszystkim – kochał czytać. Był zapalonym bibliofilem, prawdziwym mołem książkowym. Nie był w stanie zliczyć, ile różnorodnych pozycji przeczytał w swym życiu, ale był niemal pewien, że liczba zbliżała się do tysiąca. Niegdyś prowadził swoistego rodzaju dziennik, w którym zapisywał tytuły przeczytanych książek, lecz w czasie przeprowadzki z Londynu ów dziennik zaginął, a Henryk odczytując to zdarzenie jako omen, zaniechał kontynuacji tego działania. Naturalnie, od zawsze na pierwszym miejscu były kryminały, ale nie gardził ani fantastyką, ani klasyką, ani dziełami historycznymi, a i zdarzało się, że pan Fiszka z przyjemnością sięgał po romans. Być może tęsknił za niespełnioną lub utraconą miłością? Nie narzekał na brak powodzenia u kobiet, ale los tak chciał, że nie

znalazł swojej drugiej połówki. W zasadzie pan Henryk pochłaniał wszystkie książki, które według niego były warte przeczytania. W pracy miał nawet ksywkę „biblioman”, której w żadnym razie nie uważał za obraźliwą, przeciwnie – bawiła go. Według niego była oznaką szacunku i sympatii ze strony jego koleżanek i kolegów z pracy, których cenił i lubił, zresztą z wzajemnością.

Pan Fiszka spojrzął na wiszący w przedpokoju zegar. Wskazywał on 9.15. Pracę zaczynał o 10.00, zatem miał jeszcze sporo czasu. Był gotów do wyjścia, ale jeszcze raz rzucił okiem na mieszkanie. Wszystko było na swoim miejscu, co oznaczało, że może spokojnie wyjść do pracy. Wyrzwał przez okno i widząc, że nadal mży, zabrał ze sobą bordowy, automatyczny parasol. Zazwyczaj do swego książkowego królestwa chadzał piechotą, gdyż spacer zajmował mu góra dwadzieścia minut, ale jeśli pogoda była pod psem, wówczas wsiadał do szaroniebieskiego tramwaju o numerze 23 i w ciągu siedmiu minut był na miejscu. Tak też uczynił owego dnia, nie mając najmniejszej ochoty zmoknąć.

Po dotarciu do pracy, od razu wesoło przywitał się ze wszystkimi współpracownikami, włączył komputer, otworzył katalog biblioteczny i zaczął go powoli przeglądać.

– Dzień dobry, panie Henryku – zagadnęła radośnie Lucyna – najmłodsza pracownica biblioteki, a zarazem podopieczna Fiszki.

– Witaj, Lucy – odparł. – Jak się miewasz?

– Dobrze, a pan? – zapytała grzecznie.

– Doskonale, zważywszy na mój sędziwy wiek – puścił do niej oczko. – Czy przeczytałaś już książkę, którą ci pożyczyłem? – chciał wiedzieć.

– „Pięć małych świnek”? Jeszcze nie. Dozuję sobie emocje – zaśmiała się.

– Masz rację moja droga. Gdybyś przeczytała ją za szybko, to później odczuwałabyś niedosyt – pan Henryk również się zaśmiał.

– Wracam do pracy. Miłego dnia, panie Heniu. Do zobaczenia – rzuciła na pożegnanie.

– Nawzajem, miłego dnia, Lusi. Do zobaczenia później – odrzekł Fiszka.

Lucynka była niezwykle miłą, czynną, młodą, szczupłą dziewczyną średniego wzrostu, około trzydziestki. Miała kasztanowe włosy sięgające do ramion i zielone wesołe oczy. Kilka miesięcy temu zaczęły się jej problemy zdrowotne – zdiagnozowano u niej stwardnienie rozsiane – SM, co oznaczało wyrok i to jakże niesprawiedliwy. Lekarze zalecali nowatorską terapię, która gwarantowała całkowite cofnięcie choroby, ale trzeba było ją rozpocząć jak najszybciej, a co gorsza – była bardzo kosztowna. Dziewczyny jednak nie było na nią stać. Jej rodzice zmarli, gdy była dzieckiem, zaś jej pensja nijak nie pozwalała na tak drogi wydatek. Pan Henryk wiedział o problemach Lucyny i bardzo jej współczuł. Podziwiał ją za hart ducha i silną osobowość. Niejeden na jej miejscu już dawno by się załamał, a ona wręcz przeciwnie – nie traciła nadziei. Była niepoprawną optymistką.

W poniedziałki z reguły drzwi biblioteki się nie zamykały, gdyż czytelnicy żądni książkowych wrażeń bez przerwy wchodziłi i wychodzili, ale – o dziwo – ten był w miarę spokojny. Osiem godzin pracy panu Henrykowi minęło zaskakująco szybko i powoli szykował się do wyjścia. Pożegnał się ze współpracownikami, życząc im miłego wieczoru. Ciągle mżyło, więc skierował się na przystanek tramwajowy. Po kilku minutach był już w swojej przytulnej kawalerce. Zdjął płaszcz oraz buty, zaparzył mocną herbatę z lipy, dodał do niej kilka kropel soku malinowego, po czym usiadł w wygodnym skórzanym fotelu i zanurzył się w lekturze. Z zaczytania wyrwał go dzwonek do drzwi. Odłożył książkę na okrągły stolczyk i poszedł otworzyć. Wiedział doskonale, kto był za drzwiami – Wilhelm. Umówili się, że ten wpadnie po niego przed 19.00 i razem udadzą się do restauracji, zaś Gustaw miał dołączyć do nich nieco później, gdyby wizyta u dentysty miała się przedłużyć.

– Witaj, stary upiorze – zawołał wesoło Wilhelm.

– Cześć, wampirze – odparł również wesoło Henryk. – Wejdz do środka. Zapraszam.

Przyjaciele mocno uścisknęli sobie dłonie na powitanie, po czym poklepalili się po plecach. Byli w doskonałych humorach. Fiszka ubrał się i panowie wyszli, kierując się do restauracji „Pod czapłą”,

która oddalona była od mieszkania Henryka o kilka przecznic. Na szczęście przestało mżyć, więc zdecydowali się przejść. Gdy dotarli na miejsce, zajęli swój ulubiony stolik w kącie i zamówili specjalność lokalu, czyli roladę wołową z kluskami śląskimi oraz modrą kapustą. Jedli, śmiali się i rozprawiali na różne tematy. Wkrótce dołączył do nich Gustaw, ale że był tuż po mało przyjemnej wizycie u stomatologa, w czasie której kontynuował leczenie kanałowe dolnej szóstki, nie zamówił nic do jedzenia. Przysiadł się do przyjaciół i dołączył do rozmowy.

- Czy wszystko gotowe? – zagadnął Fiszka.
- Jasne! – odparli jednocześnie Wili i Gucio.
- Świetnie. W takim razie działamy zgodnie z planem – rzucił Henryk.
- Tak jest – potwierdził Wilhelm.
- Oczywiście – zapewnił przyjaciela Gustaw.
- Doskonale. Zatem jesteśmy umówieni. Dziękuję wam, i to bardzo! Trzymajcie się. Dobrej nocy – Fiszka uśmiechnął się do kolegów, wstał, pożegnał i opuścił restaurację.

Wilhelm i Gustaw zostali przy stoliku, zamienili ze sobą jeszcze kilka słów, po czym pożegnali się i opuścili lokal.

Nazajutrz, jak zwykle punktualnie o 9.45, Fiszka pojawił się w pracy. Wchodząc do budynku biblioteki, ujrzał biegnącą w jego kierunku Lucy, która żywo gestykulowała. Odmachał do niej.

- Panie Henryku, stało się coś niebywałego! – zakrzyknęła rozmocjonowana.
- O tak, czyżby twój Hubercik ci się oświadczył? – próbował zgadnąć bibliotekarz.
- Nie – odparła Lucynka, ale widać było po niej, że trudno jest jej opanować silne podekscytowanie.
- Wygrałeś w totka? – zgadywał dalej Fiszka.
- Nie – panie Henryku, przecież wie pan doskonale, że nie należę do tych, którzy kuszą los.
- W twojej dzielnicy wylądowali kosmici? – podjął ostatnią próbę.

- Ha haha. Moi sąsiedzi przypominają nieco ufoludki, to prawda, ale nie, nie odwiedził ich nikt z rodziny. Przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo – roześmiała się dziewczyna.
- To nie mam zielonego pojęcia, moja droga, co takiego mogło się stać – poddał się Henryk, rozkładając bezradnie ręce. – Musisz mi sama powiedzieć.
- Rano zadzwoniono do mnie z kliniki w Katowicach, informując, że anonimowy darczyńca sfinansował moje leczenie! Mam się do nich niezwłocznie zgłosić! Da pan wiarę? – to powiedziawszy, rzuciła się Fiszce w ramiona, mocno go ściskając. Po jej policzkach, przypominających w owej chwili kolorem piwonie, płynęły łzy szczęścia. Widać było, że jest szalenie wzruszona.
- Lucy, to cudownie! Tak się cieszę! – odparł bibliotekarz. To kiedy wyruszasz do Katowic?
- Oj, nie wiem. Mam kilka spraw do załatwienia. No i nie wiem, co z pracą – na chwilę jakby jej ogromna radość przygasła.
- O pracę się nie martw. Poradzimy sobie – dodał poczekając Fiszka.
- Tak, wiem, ale ... – urwała nagle.
- Lucynko, nie ma żadnych ale! Idź natychmiast do kierowniczk, powiedz jej co i jak, potem pędź do domu, pakuj się i niech cię ten twój Bercik wiezie na klinikę. Nie ma co zwlekać. Zdrowie najważniejsze! – zakomenderował bibliotekarz.
- Ma pan rację, panie Heniu – przyznała dziewczyna. – W takim razie pójdę do pani kierownik. Proszę trzymać za mnie kciuki – poprosiła na odchodnym.
- Masz to jak w banku! – puścił do niej oko i mocno przytulił. – Będziemy w kontakcie. Nauczyłaś mnie korzystać z Messengera, to teraz łatwo się mnie nie pozbędziesz – zapewnił ją z szerokim uśmiechem na ustach, dodając jej otuchy.
- Panie Henryku ... – Lucyna nagle pobladła i zastygła niczym sparaliżowana.
- Tak, Lucynko? Co się dzieje? – z zaniepokojeniem zapytał bibliotekarz.

– Pierońsko się boję – wydusiła z siebie, a łzy znów spłynęły jej po purpurowych z nadmiaru emocji i wrażeń policzkach.

– Dziecko ty moje, to przecież rozumiałe. Tylko wariaci nie czują strachu – delikatnie otarł jej łzy i mocno przytulił. – A teraz raz dwa, gnaj do szefowej tylko żwawo i niczym się nie trap. Wszystko będzie gites, zobaczysz!

Lucynka podziękowała Fiszce, otarła chusteczką twarz, wydmuchała nos i co sił popędziła do pani Gertrudy Pieniążek – kierowniczkę biblioteki.

Minęły cztery miesiące, Lucy miała już za sobą pierwszą udaną terapię przeszczepu komórek macierzystych. Wprawdzie była jeszcze nieco osłabiona, ale czuła się na tyle dobrze, by wrócić do pracy. Rokowania katowickich lekarzy były obiecujące, podobnie wyniki badań klinicznych. Nie było zatem żadnych przesłanek, by dziewczyna miała nadal przebywać na zwolnieniu lekarskim. Szczerze mówiąc, to miała serdecznie dość koszmarnie nudnego i bezczynnego siedzenia w przysłowiowych czterech ścianach. Zarówno w czasie pobytu w klinice, jak i podczas domowej rekonwalescencji, dzięki trosce i uprzejmości pana Henryka, przeczytała masę powieści z dreszczykiem, autorstwa mistrzyni kryminałów, czyli Agathy Christie. Trochę nadrobiła zaległości, jeśli idzie o lekturę. Fiszka regularnie odwiedzał ją i w Katowicach, i w domu. Dbał, by niczego jej nie brakowało. Dziewczyna cieszyła się, że ma tak wspaniałomyślnego i dobrodusznego przyjaciela. Była mu za to bezgranicznie wdzięczna. Rychły powrót do pracy napawał ją ogromnym entuzjazmem. Nie da się ukryć, że była spragniona kontaktu z ludźmi. Brakowało jej także bibliotecznej atmosfery, zapachu ukochanych książek. Przez ostatnie szesnaście tygodni, które do przyjemnych nie należały, a raczej do nerwowych i trudnych, dane jej było doświadczyć towarzystwa wyłącznie narzeczonego Hubiego oraz pana Henryka.

– Dzień dobry, panie Heńku – przywitała się serdecznie z Fiską, którego spotkała przed głównym wejściem do biblioteki. Podbiegła do niego i mocno go przytuliła.

– Lucy, udusisz mnie! Wracasz do sił moje dziecko, nabierasz krzepy. Miło cię widzieć – odrzekł bibliotekarz. Gotowa na powrót do imperium beletrystyki?

– Naturalnie! – odparła.

– Zatem chodźmy, moja miła. Prowadź. Przekonamy się, czy jeszcze pamiętasz drogę – zaśmiał się Fiszka i podążył prężnym krokiem za dziewczyną.

Tego dnia, około południa, w bibliotece pojawili się dwaj funkcjonariusze policji – inspektorzy Wydziału Śledczego – Alojzy Pałka oraz Zygfryd Beret, którzy aresztowali Henryka Fiskę pod zarzutem dokonania zuchwałej kradzieży jednego z bezcennych dzieł sztuki ze zbiorów Górnośląskiego Muzeum w Bytomiu, po czym zastąpienie go wyśmienitym falsyfikatem. W toku prowadzonego śledztwa na jaw wyszło, iż bibliotekarz wspólnie z dwójką najlepszych przyjaciół – Wilhelmem Broszką oraz Gustawem Perełką – wykrał fenomenalny obraz zatytułowany „Z mojego pokoju” pędzla wybitnego pejzażysty Stanisława Kamockiego. Dokonał tego dzięki Perełce, który udostępnił mu kod zabezpieczający do systemu alarmowego chroniącego muzeum, a także kody dostępu do kamer rejestrujących to, co dzieje się w poszczególnych salach budynku. Te zaś pozwoliły Fiszce na niezauważone wejście do budynku bez uruchomienia alarmu. Natomiast Broszka, absolwent prestiżowej Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, znakomity artysta, wykonał kapitalną kopię obrazu, która po dokonaniu kradzieży zawisła na ścianach muzeum. Trzej starsi panowie wykazali się nie lada sprytem, bystrością i zręcznością. Zaplanowany przez nich skok był wzorowy, nienagannie przygotowany i popisowo przeprowadzony, ale jak wiadomo, zbrodnia doskonała nie istnieje. Panowie zostawili pewien drobny ślad, który naprowadził policję na prawidłowy trop. Jak mówią: „po nitce do kłębka”. Wkrótce śledczy byli w stanie odtworzyć to, co się wydarzyło i określić, kto za tym stoi.

Początkowo, podczas wielogodzinnych przesłuchań na komendzie, męskie trio szło w zaparte, absolutnie nie przyznając się do winy, lecz po trzech dniach monotonnego maglowania, wresz-

cie mózg operacji, czyli pan Henryk, puścił farbę i przyznał się do winy. Chcąc chronić przyjaciół, całkowicie wziął ją na siebie. Drobiazgowo i w detalach opisał przygotowania do brawurowego rabunku, ciągle podkreślając swoją wiodącą w nim rolę, a tym samym próbując umniejszyć udział Broszki i Perełki w kradzieży. Konsekwentnie jednak uchylał się od odpowiedzi na pytanie, co pchnęło go do dokonania tak nieprzyzwoitej zbrodni. Milczał także pytany o to, co stało się ze skradzionym obrazem i gdzie się obecnie znajduje. Nawet zapewnienia o ewentualnym złagodzeniu wyroku nie przekonały Henryka do puszczenia pary z ust.

Na pierwsze z pytań nurtujących śledczych, czyli inspektorów Alojzego Pałkę i Zygfrieda Bereta, odpowiedzi udzielił Perełka, który rozbijając przyznał, iż Fiszka, mimo że popełnił zbrodnię, to nie jest on złoczyńcą, a raczej swoistego rodzaju Robin Hoodem, bowiem zdecydował się na ten drastyczny krok, by sfinansować kosztowne leczenie swojej znajomej, zmagającej się z nieuleczalną chorobą. Owszem, w pełni świadomy popełnianej zbrodni, czyli zuchwałej kradzieży, złamał prawo. Tego nie dało się zanegować, aczkolwiek czy na jego obronę nie można było przytoczyć popularnego powiedzenia, iż „cel uświęca środki”? Zawinił, ale czy nie kierowały nim pobudki w słusznej sprawie? Czy chęć uratowania osoby, na której mu zależało, nie stanowiła pewnych okoliczności łagodzących? Czy to, co uczynił, nie było w pewnym sensie szlachetne? Takimi właśnie argumentami Gucio usiłował bronić i ratować przyjaciela. Cóż, o losie trojga nikczemnych bytomskich rzezimieszków niebawem miał zdecydować sąd.

Na drugie z frapujących policjantów pytań odpowiedzi udzielił natomiast Broszka, solennie zapewniając strażników prawa, iż drogocenny obraz Kamockiego znajduje się w, jak to określił, „dobrych rękach”. Trafił on bowiem do zbiorów dobrze znanego policji, kilkakrotnie notowanego za drobne przestępstwa gospodarcze śląskiego kolekcjonera – Rajmunda Lepkiego, który zapłacił za niego całkiem okazałą sumkę.

Gdy cała afera w pełni wypłynęła na światło dzienne, Fiszka wreszcie poczuł ulgę. Gardził kłamstwem i oszustwem. Dokona-

nie kradzieży kosztowało go sporo nerwów, a także zdrowia, ale wiedział, że to jedyny sposób, by uratować Lucy. Co więcej, dręczyło go sumienie i bolało go to, że wpłatał w to śliskie przedsięwzięcie swych najlepszych kumpli – Wilhelma i Gustawa – prawych obywateli. Podczas procesu sądowego bez ogródek przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu, całą winę wziął na siebie i okazał skruchę. Sędzia Bernard Paragraf, pocziwy człowiek, znany ze sprawiedliwych, ale jednocześnie surowych wyroków, nie miał łatwego zadania. Z jednej strony musiał ukarać Henryka oraz jego przyjaciół, ale z drugiej nie mógł nie wziąć pod uwagę znacznych pobudek, dla których Fiszka wszedł na drogę przestępczości. Ogłaszając werdykt, sędzia Paragraf zacytował rosyjskiego powieściopisarza – Fiodora Dostojewskiego: „Są granice, których przekroczenie jest niebezpieczne; przekroczywszy je bowiem, wrócić niepodobna”. To prawda, bo przecież to, co się stało, niestety już się nie odstanie. Nie da się cofnąć czasu, choćbyśmy bardzo tego chcieli. Sędzia nie ukrywał swego zaskoczenia postawą zwykłego bibliotekarza, jego pomysłowością co do zaplanowania kradzieży, i choć stał się złodziejem, to wzięwszy pod uwagę nieskazitelną przeszłość oraz jego wiek, skazał Henryka Fiskę na 300 godzin prac społecznych. Na koniec rozprawy nie omieszkiał też wypowiedzieć niezwykle wymownego zdania, pochodzącego z Talmudu, które głosi, iż ten „kto ratuje jedno istnienie ludzkie, tak naprawdę ratuje cały świat”. Słyszając to wszystko, Henryk nie krył swego wzruszenia. Łzy radości i ulgi spływały mu po policzkach. Jego serce się radowało, że Lucynka będzie mogła normalnie żyć. A to było dla niego priorytetem.

Jan Goli (Janion), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 10 w Mikołowie

Okulary czasu

Włodek ma sześćdziesiąt cztery lata i mieszka w małym mieszkaniu. Kiedyś był żołnierzem, teraz na emeryturze bardzo się nudzi. Z nudów upatrzył sobie zajęcie – narzekanie na wszystko, szczególnie na dzieci.

Włodek ma urodziny siódmego kwietnia. Jego córka i wnuki długo się głowili co mu dać w prezencie. Jeżeli mu nic nie dadzą – będzie chciał prezent, a jeśli dadzą, okaże się, że wcale go nie chciał. Po długim namyśle kupili mu okulary. Nie były to jednak zwykłe okulary, lecz takie, dzięki którym dorośli postrzegają świat jak dzieci, a dzieci jak dorośli.

Okulary leżały na półce przez pół roku, aż Włodek przypomniał sobie o nich i założył je pierwszy raz. Uczucie było bardzo dziwne, nagle miał ochotę zjeść czekoladę i pójść pograć w piłkę nożną na boisku pod blokiem. Zupełnie jak jego wnuk Franek.

Włodek po chwili stwierdził, że jego ulubiony program o samochodach wcale nie jest taki ciekawy, więc puścił sobie film animowany. Po obejrzeniu filmu poszedł na lody. Po drodze zobaczył trzepak, wcześniej przeganiał stamtąd dzieci z sąsiedztwa, ale teraz zaczął sam się na nim bawić! Z pozoru taka zwykła rzecz, a może sprawić taką radość. Dobrą chwilę zajęło mu przypomnienie sobie, że miał kupić lody. Po zjedzeniu lodów o smaku smerfowym, a nie jak zazwyczaj kawowym, udał się do sklepu. Musiał przecież coś zjeść. Kupił paluszki, czekoladę, krówki i sok jabłkowy.

Wracając do mieszkania Włodek zdjął okulary, ale nic się nie zmieniło. Bardzo się zaniepokoił, nie chciał już widzieć świata jak dziecko. Gdy był już w domu przeczytał instrukcję dołączoną do okularów i oniemiał. Zdał sobie sprawę, że efektu działania nie da się odwrócić. Był bardzo zły na siebie. Na szczęście złość przemknęła mu szybko, jak u dzieci.

Po kilku dniach do Włodka zadzwonił Zbyszek i powiedział zdenerwowanym głosem:

- Dlaczego nie zjawiłeś się na ustalonym spotkaniu?
- Chciałem wtedy pokolorować obrazek, więc byłem zajęty – odpowiedział Włodek.
- Co się z Tobą dzieje ostatnio? – zapytał Zbyszek. – Specjalnie kupiłem butelkę wina.
- Nie lubię wina, teraz piję tylko sok pomarańczowy i lemoniadę – wyjaśnił Włodek.

Po słowach Włodka Zbyszek rozłączył się bez pożegnania.

Włodek zaczął też mieć marzenia, wcześniej o niczym nie marzył. Teraz bardzo chciał mieć rower. Po zakupie roweru był bardzo szczęśliwy. Lecz szybko pojawił się problem, Włodek nie umiał jeździć na rowerze. W końcu stwierdził, że się nauczy. Wcale nie przejmował się upadkami, bo wierzył, że w końcu nauczy się jeździć dobrze. Obcy ludzie zaczęli brać go za dziwaka, ponieważ robił rzeczy typowe dla dzieci. Niechętnie nosił popielate i brązowe garnitury, a zaczął gustować w krótkich spodenkach i sweterkach w fantazyjne wzory.

Przez następny miesiąc Włodek narobił sobie problemów. Widząc świat jako dziecko, nie rozumiał na przykład, że trzeba płacić rachunki. W końcu zamieszkał u córki, bo ta zaczęła zastanawiać się nad stanem umysłu ojca i wolała mieć go na oku. Córka kupiła nawet psa, by miał kto ojca pilnować. Włodek z Frankiem byli zachwyceni prezentem i bawili się bardzo dużo z psem.

Po przeprowadzce Włodek zobaczył jak bardzo brakowało mu towarzystwa kochającej rodziny.

Stał się szczęśliwym człowiekiem i przestał na wszystko narzekać. Był bardzo zadowolony z życia. A że uważano go za niespełna rozumu? I cóż z tego! Kto jest tak całkiem, ale to całkiem normalny?

Kacper Kabziński (Kobza), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 10 w Mikołowie

Jestem bogiem

Pewnego jesiennego wieczoru, gdy przeglądałem internet w poszukiwaniu nowych piosenek, ujrzałem błysk za oknem. Było już ciemno, a nad drogą unosiła się gęsta mgła, więc było mocno widać ten dziwny błysk.

Postanowiłem przyjrzeć się, co to było. Latarnia dobrze oświetlała postać młodego mężczyzny. Wyglądał nietypowo, włosy miał bardzo krótkie, był prawie łysy, miał wyraziste kości policzkowe i cienie pod oczami. Ubrany był skromnie w trochę rozciągniętą kremowo-brązową bluzę z wielkim napisem „bottle”, dresowe spodnie nisko opuszczone na biodrach. Cały czas mi się przyglądał, przynajmniej takie odniosłem wrażenie, lecz nagle zniknął. Zdziwiłem się i pomyślałem, że mam jakieś omamy. Postanowiłem nie zawracać sobie tym głowy i pójść spać.

Następnego dnia, gdy wychodziłem do szkoły, znowu go widziałem. I tak przez kilka dni. Pewnego dnia postanowiłem do niego podejść i dowiedzieć się, o co chodzi. Gdy byłem już blisko, mężczyzna zaczął iść w moją stronę. Słyszałem jak nucił coś, jakby piosenkę. Byliśmy już metr od siebie, więc postanowiłem się odezwać:

- Kim jesteś?
- Jestem bogiem – odpowiedział cichym głosem.
- Bogiem? – odparłem ze zdziwieniem.
- Jestem bogiem – powtórzył.
- Jak się nazywasz? – nie dawałem za wygraną.
- Jestem Magik – rzekł i oddalił się nieśpiesznym krokiem.

Zastanawiając się, kim była ta osoba, poszedłem do szkoły. Gdy wróciłem do domu, nadal w głowie pobrzmiwały mi dziwne słowa mężczyzny i od razu pobiegłem do komputera poszukać słów „jestem bogiem” oraz „Magik”. Wyszukała mi się jakaś piosenka. Postanowiłem, że jej posłucham. Oczywiście prawie

natychmiast spodobała mi się. Poszedłem spać, ale nie umiałem zasnąć, ponieważ w głowie kołatało mi zdanie z piosenki „jestem bogiem, uświadom to sobie”. Rano, gdy już miałem wychodzić do szkoły, kątem oka zauważyłem przez okno znów tego chłopaka. Pomyślałem, czy nie marznie, ponieważ na dworze było jedynie siedem stopni, a miał na sobie tylko tę samą bluzę co pierwszego wieczoru. Więc wyszedłem i zapytałem:

– Jest ci zimno?

– Jestem bogiem – odpowiedział.

Pomyślałem, że znów będzie odpowiadał tylko tym zdaniem, więc sobie pójść. Kiedy już odchodziłem, powiedział:

– Jestem Piotrek Łuszcz, a moja ksywa to Magik.

Zdziwiłem się. Postanowiłem też się przedstawić:

– Jestem Karol Nowak, i nie posiadam ksywy.

Magik popatrzał na mnie i odszedł szybkim krokiem. Postanowiłem, że też pójść do szkoły, w końcu za chwilę zaczynały się lekcje. Opowiedziałem o wszystkim moim kolegom z klasy, ale niestety zaczęli się śmiać i mówili, że to wymyśliłem. Nic dziwnego, w końcu przeczytałem w Internecie, że Magik zmarł wiele lat temu. Cały czas trwałem przy swoim, ale oni mi dalej nie wierzyli. Po szkole stwierdziłem, że pójść inną drogą. Idąc, słyszałem szept, lecz je ignorowałem. Wszedłem do domu i pomyślałem, że może jestem chory. Zmierzyłem sobie temperaturę, ale nic nie wyszło. Stwierdziłem, że pójść spać, bo może to wszystko ze zmęczenia. Obudziłem się około 18.00, bo mama mnie zawołała, żebym wyniósł śmieci.

Otworzyłem drzwi od klatki, a tam... Magik. Przestraszyłem się i zapytałem:

– Co tu robisz?

– Czekałem na ciebie – powiedział po cichu.

Zdziwiłem się:

– Na mnie? A po co?

– Chce cię gdzieś zaprowadzić – powiedział Magik.

– Gdzie? – zapytałem.

– Zobaczysz – odrzekł.

Wziął mnie za rękę i w sekundę znaleźliśmy się w innym miejscu. Magik powiedział:

– Mieszkałem tu...

– Co to za miejsce? – zapytałem.

– Bogucice – rzekł.

– Nie znam – odpowiedziałem.

Nagle pojawiliśmy się w innym miejscu. Wiedziałem, co to za miejsce.

– Wiem. To jest rynek Mikołowa...

– Tak – rzekł.

– Czemu akurat tutaj? – zapytałem.

– W tym mieście mieszkał mój kolega, który ze mną śpiewał... – odpowiedział.

– A co śpiewaliście? – zapytałem z zaciekawieniem.

– Hip-hop.

– Jak się nazywał twój zespół? – zapytałem.

– Paktofonika – odrzekł, i znów przeniósł nas w inne miejsce.

Nie wiedziałem, co to za miejsce. Magik nagle zaczął śpiewać. Popatrzyłem na niego i też zacząłem śpiewać. Zdziwiłem się, bo nie znałem tej piosenki. Gdy skończyliśmy śpiewać, zapytałem:

– Co to za miejsce?

– Katowice – odpowiedział, nucąc piosenkę.

– Czemu akurat tutaj?

– Ponieważ tu był pierwszy koncert Paktofoniki...

Nagle pojawiliśmy się koło mojej klatki. Gdy Magik się ze mną żegnał, powiedział jeszcze:

– Zapamiętaj, muzyka jest zawsze w nas...

– Dobrze – odpowiedziałem.

Miałem już iść do domu, ale mnie zawołał:

– Karol...

– Tak? – odpowiedziałem.

– Twoja nowa ksywa to Magik – rzekł...

– Czemu, przecież to twoja ksywa...? – zapytałem.

– Wierzę, że będziesz śpiewał tak jak ja... – powiedział i zniknął.

Gdy wróciłem do domu, mama z niepokojem zapytała mnie, gdzie tak długo marudziłem.

– Zamek się zaciął w furtce – odpowiedziałem i poszedłem do swojego pokoju, nie mówiąc już nic, bo jak miałem to wyjaśnić...

Następnego dnia w szkole postanowiłem powiedzieć kolegom o swojej nowej ksywie. Jak zawsze śmiali się, ale ignorowałem to. O tamtym wieczorze i dziwnym spotkaniu z Magikiem nie opowiadałem już nikomu, a sama sytuacja nie powtórzyła się już nigdy. Nie widziałem już więcej swojego idola, ale w głowie nadal słyszałem słowa piosenki „Jestem Bogiem” i wierzyłem, że kiedyś będę śpiewał jak Magik.

Olivia Hadzińska (Lirykus), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 6 w Myszkowie
„Ateista i Anioł”

Właściwie nie wiem, kiedy to się stało. Taka beznadziejna pustka wewnątrz samego siebie.

Czy tak lepiej mi się żyje? Lepiej, chyba nie – na pewno łatwiej.

To ŁATWIEJ, ta przekłeta myśl drążyła w odmętach mojego mocno nadszarpniętego sumienia.

ŁATWIEJ, ŁATWIZNA... obrzydliwe. Skąd w taki zwyczajny, szary dzień, te myśli prześladowące, dokładnie w tym samym miejscu.

Chodzę na uczelnię tą samą drogą od lat, mijając mniej lub bardziej zabieganych ludzi.

Te same budynki, mam wrażenie, że krajobraz stanął w miejscu, a jednak...

*...przecież pamiętam, ten śnieżnobiały obrus,
jedyne przeznaczone tylko na kolędę, z namaszczeniem
ustawiany krzyż, smak Wigilii i ciepło rodzinnego domu...*

Wyrzucam z siebie tę wsteczną pamięć. Mam wymarzoną pracę i piękne mieszkanie, stabilizację finansową.

Nie... nie... święta! Kolędy, przesady... historia... nie... nie... Czy na pewno?

– Pamiętam, panie Marku – z odrętwienia wyrwał mnie świszczący głos pani Tereski, naszej sprzątaczkii. – Pan z moim Romkiem aż do liceum byliście ministrantami! – A, wie pan co – nie dawała za wygraną – on teraz ma rodzinę a... pan, panie Marku taki sam? Właściwie chciałem jej odburknąć, co ją, prostą babę, obchodzę ja. I jakim prawem wtrąca się w mój poukładany świat, ale znowu pojawiła się ta retrospekcja...

*...zima. Taka prawdziwa ze śniegiem i mrozem, i my ministranci
brodzący w śniegu, z kolędami na ustach...*

– Nie... Nie... – powiedziałem tak stanowczo, że poczułem fizyczny ból w mojej głowie.

– Hmmm... Hmmm – odburknęła, i z wyraźną dezaprobatą obróciła się na pięcie.

No nie! To już przerasta wszelkie wyobrażenie. ROMEK. Wielkie mi co, pewnie po liceum pracuje, ma gromadkę dzieci i ledwo wiąże koniec z końcem. I ona będzie mi prychać! Moje rozsierdzone EGO, nie... nie będę się zniżał do jej poziomu.

Skutecznie omijałem panią Tereskę.

Minęły święta „na bogato”, a także samotne wczasy all inclusive. Potem zwykłe szare dni. Tylko ten kawałek drogi, pomiędzy starym mostem, a ławką w parku.

Przyszła wiosna...

*...wiosna unosiła się zapachem żurku i jajka z chrzanem,
w koszyku do święcenia, a lato kurzem spod pielgrzymich butów...*

Postanowiłem zmienić drogę.

Przyszła kolejna zima.

Pani Tereska... tyle razy udało mi się ją minąć. Udać, że nie widzę, albo odburknąć „dzień dobry” w biegu, tak, by nie zdążyła zapytać:

– I co?! Panie Marku, dalej jest Pan taki sam!

Nie wytrzymałem, tak naprawdę nie pamiętam, co chciałem zrobić. Czy podbiec i wykrzyknąć jej prosto w twarz, jaki to jestem lepszy od jej syna i nagle... obudziłem się w szpitalu.

W Wigilię.

– Poślizgnął się pan i upadł tak nieszczęśliwie, paskudnie rozbijając głowę – jakiś młody głos uświadamiał mnie w sytuacji, w jakiej się znalazłem.

Byłem nieprzytomny przez jakiś czas. Leżałem sam. Rodzice nie żyli, a rodzina dawno się ode mnie odsunęła. Wiadomo, sam na to zapracowałem.

Pierwszą osobą, którą zobaczyłem po wybudzeniu, był ksiądz.

– NIE! NIE... NIE POTRZEBUJĘ – wymamrotałem.

– Potrzebujesz, potrzebujesz – pokiwał tylko głową.

Następną osobą była pielęgniarka. Taka ruda i bardzo pyskata. To jej głos mnie wcześniej uświadomił, co się stało. I dalej nie dawał za wygraną:

– ...ma pan szczęście, ordynator walczył o pana jak lew!!! – Pewnie pana zna i... „puściła oko”.

– Głupia – pomyślałem. Pewnie zwyczajnie trafiłem na fachowca. Dalej byłem ignorantem, zadufanym w sobie.

Kto był zależny kiedyś od kogoś, wie jak cenna w szpitalu jest pomoc kogoś bliskiego – pod warunkiem, że się go ma!

Pani Tereska była u mnie codziennie. Myła, goliła, karmiła, a potem, gdy udawałem, że nie widzę, siedziała cicho w kąciku i odmawiała różaniec.

Ksiądz, ten z pierwszego dnia, rzucił kiedyś z chytrym uśmiechem:

– ...no niebywałe, cóż to za wytrwały Anioł czuwa nad naszym Ateistą?

Był sylwester.

– Panie Marku – powiedziała Ruda na wysokich tonach – będzie wypis. O! I wrócił z sympozjum ordynator, to będzie mógł mu pan osobiście podziękować.

– Właściwie miała rację, tylko czemu sam na to nie wpadłem?

Byłem już spakowany. Otworzyły się drzwi i... od razu przypomniałem sobie cytat:

...Pycha, kroczy przed UPADKIEM...!

Tak, w drzwiach był nie kto inny, tylko Romek.

Wszystko mignęło mi w pamięci, troska pani Tereski, moja wizja jej syna, Ruda, ksiądz, i moje „lepsze życie”. Poczułem się, jak taki grzyb leśny, na którego mówiliśmy „purchawka”, tuż przed wybuchem.

Zbliżała się północ.

Z krzykiem, niczym Walkiria, na oddział wpadła piękna kobieta. Ruda zbladła. Roman stał się przezroczystry.

– Czyś ty zwariował!!! Masz zegarek?! Dzieci czekają, A TY sobie pogaduszki urządzasz!!!

Zuza, żona Romka. Wspaniała kobieta, pod warunkiem, że wszystko idzie według jej planu.

W jednym miałem rację. Roman miał dużą rodzinę, ale dzięki temu ja teraz jestem wujkiem: Oli, Karolka, Dorotki, a niebawem Julka.

Ruda okazała się siostrą Zuzy... i niebawem, myślę, kimś mi najbliższym.

Jedna myśl prześladowała mnie... to miejsce pomiędzy starym mostem a ławką w parku...

I tu niezawodna okazała się pani Teresa:

– Chłopcy – powiedziała z wyraźnym zadowoleniem w głosie – co wy? Nie pamiętacie?

– Hmmm... Hmmm... (znowu, no nie, teraz nawet mnie to rozbawiło).

– A gdzie chodziliście przed każdą trudniejszą klasówką?

Przecież tam jest ukryta figurka Judy Tadeusza.

Fakt.

– To ten Anioł ujął się za zatwardziałym Ateistą – pomyślałem na głos.

– Za byłym, BYŁYM Ateistą – poprawił Roman.

Urszula Bałuta (Meikame), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 84 w Gdańsku

Wyjście z mroku

Jest ponuro i szaro. Uciekam przed spadającymi bombami i biegnę schować się w schronie. Wbiegam do stacji metra cała sparaliżowana i głodna. Widzę płaczące dzieci, rodziny i mnóstwo obcych ludzi, których wcześniej nigdy na oczy nie widziałam. Rozglądam się za moimi rodzicami. Szłam za nimi, miałam nadzieję, że nic im się nie stało. Nagle słyszę znajome głosy. To mama i tata są tutaj, cali i zdrowi.

– Diana, niedługo powinien przyjechać bus i zabrać nas za granicę. Tam powinniśmy być bezpieczni – powiedział tata.

– Powinniśmy? – powtórzyłam ze łzami w oczach.

– Nie wiemy co się stanie i co będzie dalej córeczko, pamiętaj tylko, że z tatą bardzo cię kochamy i nigdy nie przestaniemy – wtrąciła mama i pogłaskała mnie po twarzy.

Po tych słowach rozplakałam się i rzuciłam rodzicom na szyję. Wiedzieli, że jestem zmęczona, głodna i roztrzęsiona. Następnie zanieśli mnie na ławki, które znajdowały się w stacji metra. Nawet nie wiem, kiedy zasnąłam. Obudziło mnie wołanie rodziców.

– Chodź! – krzyczeli. – Bus przyjechał.

Pobiegłam w ich stronę. Mieliśmy szansę się uratować. Pełni nadziei i strachu dopchaliśmy się do busa, chyba z zagranicy, bo miał inną rejestrację. Na początku każdy pasażer dostał butelkę wody i kanapkę. Dawno się tak nie cieszyłam na widok jedzenia. Szukałam miejsca, żeby gdzieś usiąść. Rodzice zajęli nam dwa miejsca. Ledwo się ścisnęliśmy, jednak nie było innego wyjścia. Co chwilę słyszałam huki i krzyki ludzi. Próbowалам zagłuszyć to zakrywając uszy rękami, jednak nic to nie dało. Byłam zmęczona, chciałam spać, jednak nie miałam jak. Było ciemno, głośno i ciasno. Udało mi się zmrużyć oczy, niestety tylko na chwilę, ponieważ ciągle słyszałam nadlatujące samoloty. Cały czas płakałam próbując się uspokoić, nawet przytulanie się do mojego ulubionego pluszaka,

którego wzięłam ze sobą w pośpiechu uciekając z domu, nie poprawiało mi humoru. Po kilkunastu godzinach byliśmy na miejscu. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że jestem w Polsce.

Wszystko było takie ponure, obce, zimne... Dostaliśmy się na jakąś wielką salę. Cała była wypełniona śpiworami i jedzeniem dla uchodźców.

– Patrz mamó! – krzyknęłam. – Będę miała gdzie spać!

Mama tylko na mnie spojrzała, wiedziała, że jedzenia, jak i śpiworów, jest za mało dla nas wszystkich. To nie był łatwy czas. Wszyscy byli smutni, zmęczeni, przerażeni. Miałam wrażenie, że to jakiś koszmar. Było tak ciemno, zimno, obco. Dopiero po paru ciężkich dniach opuściliśmy to straszne miejsce.

– Dokąd jedziemy? – spytałam taty, zmęczona i głodna.

– Udało nam się dostać do szkoły z internatem. W niedużym miejscu, niedaleko granicy, by móc w razie czego wrócić do Ukrainy – powiedział tata.

Na początku nie podobał mi się ten pomysł, ponieważ nie chciałam być sama, jednak dowiedziałam się, że oboje dzięki znajomym dostali pracę w tej szkole jako kucharze. To mnie trochę podniosło na duchu. Ja miałam mieszkać z uczniami, a oni w tej samej szkole w specjalnie przygotowanym pomieszczeniu dla uchodźców. Bałam się. Znowu było mi dziwnie, obco, ponuro.

Mama odprowadzała mnie do pokoju z moją małą walizką.

– A co będzie w tym pokoju? – zapytałam się.

– Słyszałam, że pokoje są dwuosobowe, mają łazienkę, szafę, oddzielne łóżka, a nawet małą kuchenkę – powiedziała uradowana.

– Okej – odparłam, ale bez uśmiechu.

Kiedy przekroczyłam próg pokoju nie mogłam uwierzyć własnym oczom, na jednym z łóżek siedziała Nastia, moja koleżanka ze starej szkoły. Od razu wstała i przytuliła mnie na powitanie. Byłam cała roztrzęsiona po wyjeździe z Ukrainy, jednak jak ją zobaczyłam w końcu się naprawdę uśmiechnęłam i miałam wrażenie, że nie jest tak ciemno wokół mnie.

– Chciałam, żeby był ze mną w pokoju ktoś fajny, ale tego się nie spodziewałam – krzyknęła uradowana.

Cały dzień gadałyśmy dosłownie o wszystkim i zapomniwałyśmy na chwilę o wojnie. Do naszego pokoju weszła w pewnym momencie jakaś pani i przedstawiła się. Powiedziała, że będzie naszą wychowawczynią.

– Dzień dobry Diano i Nastio. Zajęcia zaczynamy w sali numer trzy, tu są wasze mundurki – powiedziała wręczając nam piękne sukienki, skarpety z falbanką i buty.

– Dziękujemy – odpowiedziałyśmy i zaczęłyśmy się przebierać.

– I jak wyglądam? – zapytałam Nastii.

– Świetnie, a ja? – zapytała także.

– Też super, piękne są te buty – odparłam...

Wyszłyśmy z pokoju i szukałyśmy sali numer trzy. Gdy ją znalazłyśmy, zapukałyśmy do środka i weszłyśmy. Zobaczyłyśmy naszą panią i usiadłyśmy w przydzielonej nam ławce. Łatwo nie było. Nie znałyśmy języka, jednak i pani i inne dzieci były miłe, i się uśmiechały.

Po lekcjach był czas na odwiedzin. Najpierw przyszedł do mnie tata, a potem mama. Nastia też spotkała się z rodzicami.

Po dniu pełnym wrażeń poszłyśmy do stołówki na kolację. Dostałyśmy ciepłą herbatę z miodem i kanapkę z szynką i serem. Byłam już bardzo głodna. Dawno mi tak nic nie smakowało.

– Dobrze – powiedziałam już po polsku, na co panie woźne się uśmiechnęły. To było moje pierwsze słowo w nowym języku. „Dobre” to tak dobrze wróżyło. Dobrze było jedzenie, dobrzy byli ludzie, dobre było nowe miejsce.

Z Nastią wróciłyśmy do pokoju. Tego dnia poczułam, że mimo iż była zima czułam się tu bezpiecznie. Można powiedzieć, że tak jakby zaczęłam prowadzić nowe życie. Do tego po raz pierwszy od dawna ujrzałam w klasie promienie jakże cudownego słońca. Już nie było mi tak ponuro, zimno, chłodno, brzydko. Było tak, jakbym się obudziła albo wyszła z jakiegoś mrocznego miejsca. W końcu miałam nadzieję, że kolejne dni w Polsce będą coraz bardziej słoneczne, jasne i radośniejsze. I że tu odnajdę mój nowy dom i nowych przyjaciół, i że ten mrok wojny, strachu i głodu już do mnie nie wróci...

Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

1 miejsce

83 Jakub Miklus: *Jak Tuwim*

2 miejsce

83 Gabriela Waśko: *Filiżanki*

3 miejsce

84 Julia Nguyen Van: *Nie jestem*

85 Grzegorz Sobkiewicz: *Mojej Babci...*

Wyróżnienia

86 Mateusz Szachowicz: *List do dorosłości*

87 Oliwia Kosman: *Dymorfizm płciowy*

88 Emilia Kusz: *Nie każdy bohater nosi szlafrok*

89 Jan Kocot: *XXX*

Opowiadania

1 miejsce

90 Aldona Rams: *Liberum arbitrium*

2 miejsce

93 Zuzanna Matuszczak: *Żałuję, że nie zadzwoniłem*

95 Julia Nguyen Van: *Raz Ostatni*

3 miejsce

101 Gabriela Roszczyk: *Uśmiech w cieniu morwy*

	Wyróżnienia
108	Kinga Skrok-Wolska: <i>Łowca kredek</i>
116	Julia Liptak: <i>Migdałowe Wzgórze</i>
120	Kornelia Krawiec: <i>Od nowa</i>
124	Hanna Marcinkowska: <i>Arrête! C'est ici l'empire de la Mort</i>

	Jednoaktówki
	1 miejsce
130	Jakub Krok: <i>Siostra</i>

	Wyróżnienia
141	Grzegorz Roda: <i>Papkin i krokodyl</i>
146	Bartosz Mituła: <i>Konieczność najwyższa</i>

Liryczne Jasio

Jakub Miklus (Miklusik), kl. 3
Samorządowe Liceum Ogólnokształcące
w Stalowej Woli

Jak Tuwim

Chciałbym poczuć piękno
słów
złapanych mimochodem
od niechcenia
w sidła wiersza

Wychodzę jak Tuwim
na łów słów
nieokiełznanych
Bawią się w ciuciubabkę
Niestety

Delektuję się wonią ciszy
Na rzęsach kołyszę epitety
Przytulam porównanie
Puszczam je z wiatrem
Osobno umierają z tęsknoty
Niestety

Gabriela Waśko (Lampa), kl. 2
IV Liceum Ogólnokształcące
z Oddziałami Integracyjnymi w Jaśle

Filiżanki

Pół życia przetłukę się w komunikacji miejskiej
Gdy tylko nie patrzę chowam
Po kieszeniach kradzione bilety
Wymykam się od ruchu maszyn

Wstyd mi stać na równi z nimi
Rozbijam się o spocone wybrzeża ciał
Jestem tu na dnie z dnem się ściskam
Myśli przesiąkły solą są jak fale
Przetłukły się już tyle

**Julia Nguyen Van (Ranna Cebula), kl. 4
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle**
Nie jestem

Płomienne łzy

spływają i łączą się w strugę
z krwią sączącą się spomiędzy moich zębów
i widzą, płynąc dalej, czerwone ślady na ciele,
którego wygrzyzione odłamki rzucono w niepamięć.

Patrzę w górę i widzę ich wszystkich,
którzy bez wysiłku mają to, czego pragnę,
a z wysiłkiem osiągają to, o czym skrycie marzę
mimo bycia stworzonym do czegoś innego.

Miłość, jaką ich darzę,
to podziw podszyty zazdrością,

którą trzymam w sobie dla siebie.
Wciąż pragnę dla nich jak najlepiej,
ale wieczorami, nocą, rankiem
znów zrywam z siebie ciało,

by móc przejść dzień z podniesioną głową.
Bo w Lustrze nigdy nie było mnie.
Och, moi, wiem, że tego pragniecie,
ale w jaki sposób mogę pokochać siebie
skoro ja sobą nie jestem?

Grzegorz Sobkiewicz (Grechut), kl. 1
Zespół Szkół nr 3 w Stalowej Woli

Mojej Babci...

tak bardzo cię nie ma
przy kuchennym stole
w wieczornym modlitewnym szepcie
przed telewizorem
w planach na niedzielne popołudnie
drzemiącej w fotelu
w progu domu
odeszłaś cichutko
zapomniałaś mnie uściskać przed szkołą
poszłaś tak jak stałaś
w kapciach
wełnianym pledzie
i okularach na czubku nosa
nic ze sobą nie zabrałaś
a przecież pomógłbym ci się spakować
tak jak kiedyś
gdy jechałaś do sanatorium
wiesz jak bardzo lubię to robić
wybrałyśmy razem sukienki
kilka torebek
i buty te z klamrami
które tak lubisz
klapki w motyle
i korale te od dziadka
no i parasol
jakby zaczęło padać
bo wiem jak nie lubisz
deszczowych włosów

Mateusz Szachowicz (Matwiej), kl. 3
II Liceum Ogólnokształcące
w Gorzowie Wielkopolskim

List do dorobkości

A zatem wydajesz ostatni wydech
Gasisz to, co jedynym ciepłem
Zasilało światło bladej latarni
Już upadły bociany
Strącone na mur
Z wieży nie dobiegają odgłosy zwycięstwa
W twierdzy na wzgórzu
Gdzie niegdyś kłusowały kuce
Każemy kwiaty pasem
Albo suszą

Dotarł tam list cyrklem pisany
Przeczytano, że słońce świeci
Mokrym śmiechem opluto kartkę
Trafiła do kominka
Wraz z tysiącem niedoszłych wierszy
Poeta został żołnierzem
Smutku już nie czuje
W każdym razie nie może
Z nieba, którego nie będzie
Spadł stopiony wosk.

**Oliwia Kosman (Paqueretta), kl. 3
V Liceum Ogólnokształcące
z Oddziałami Dwujęzycznymi
w Dąbrowie Górniczej**

Dymorfizm płciowy

dymorfizm płciowy śledzi nas nieustannie
wśród ludzi i ludzisk
wśród wstążek moich i lasów szabli twoich
wśród półek sklepowych domów szeregów
jogurtów batonów dla niewiast
niczyja córka i syn niczyj w labiryncie
niewypadyzmu
faux pas popełnić jest różnie zupełnie
jak rolę interpretować w niewdzięcznym teatrze społeczeństwa
który panbuk sam z desek sobie wyheblował
posadził tam nas dwoje mnie i ciebie
w innych ciałach dusze jednakie
ten dla mnie dla ciebie
ta dla mnie dla ciebie
to dość ekscentryczne
uciekając uciekniemy się do konkluzji
w świecie kokardy i bagnetu
bądźmy sobie ludźmi

Emilia Kusz (Pustułka), kl. 2
IV Liceum Ogólnokształcące w Zielonej Górze

Nie każdy bohater nosi szlafrok

Mama
To niby
Jedna osoba

A jest mama szlafrokowa
Która pogłaszcze po głowie
Opowie jak minął jej dzień

Jest mama zapracowana
Śpiesząca się

Jest też mama zła
Kiedy ją rozgniewam

Mama artystka
I organizatorka

Mama dumna
Mama powierniczka
Mama zmęczona
Mama radosna

Mama Igi
O którą jestem zazdrosna
Mama taty
Ta surowsza
Wreszcie moja mama
Która wysłucha co u mnie
W szkole

Nie wiem jak ona łączy
Te wszystkie mamy

Może po prostu jest
Mamą superbohaterką
Z powiewającym na wietrze
Szlafrokiem

Jan Kocot (Tobi), kl. 1
IV Liceum Ogólnokształcące w Bytomiu
XXX

Pod obłokiem zmysłów, miód pszczele skrywa tajemnice, Rozpuszczone w nim, tabletki – gift dla ukrytej gruźlicy. Przekształcone w słodkie praliny, jak śmiechem zabawki, Gdy roztargnione mrowisko niesie je do ukrycia.

Często przychodziłem niezapowiedziany, Zdając się na kaprysy nieznanych przeciwności. Bo słowo „strajk” w tym miejscu było jak egzotyczna papaja, Owoce gorzko-słodkie, które nigdy nie smakowałem.

A matki z obłędem w oczach, rzucały miłość dla zwierząt, Jej esencję znałem tylko z rzadkich spotkań. Kres stanowiło przeczesywanie mgły srebrzystych włosów, Póki ostatni pociąg nie zawył, biorąc mnie ze sobą.

W święta, zawsze wracałem do tego pierwszego pragnienia, Do oddawania pralin mrówkom, do rzuconego z miłością chleba. Bóg tego nie pojmował, zbyt ludzka to proza, Ale w końcu to jest esencja, której szukamy w poezji.

Aldona Rams (Aldi), kl. 4
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle
Liberum arbitrium

Sklonił się za przykładem innych, lecz zrobił to z wyraźną niechęcią. Jego serce powoli zżerały mroczne uczucia, przy czym prym wiodła zazdrość. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Bunt i kara.

Upadł. „Nie!” – wykrzyknął w duchu. Został strącony. Na początku dręczyły go wspomnienia – jasne obrazy przepełnione ciepłem, spokojem i miłością. Za każdym razem, gdy umysł mu je podsuwał, czuł jakby ktoś wbijał nóż między jego żebra i powoli, milimetr po milimetrze przekręcał ostrze. Duchowy ból był trudny do zniesienia.

Stracił swoją postać, lecz czas wciąż nie miał nad nim żadnej władzy. Mimo tego nie pozostawał wolny. Musiał oglądać świat z ich perspektywy, to było częścią jego pokuty.

*

Wystukiwał palcami lewej dłoni rytm na blacie biurka, próbując zabić nudę. Dostrzegł, że czarny lakier na jednym z paznokci delikatnie odprysnął.

– Ad diabolum cum hoc – wymamrotał pod nosem poirytowany. Nagle rozległo się głośnie pikanie. Rolety opadły z trzaskiem, a na jednej ze ścian zamigotał niewyraźny obraz. Kontury w ułamku sekundy wyostrzyły się i oczom samotnego obserwatora ukazała się następująca scena: w kącie kuchni mężczyzna bił i kopał kobietę; szlochając błagała go, żeby przestał, lecz on nic sobie z tego nie robił.

Samotny widz doskonale wiedział co się zaraz wydarzy. Nie siedział już w pustym pokoju. Popatrzył na swoją zakrwawioną pięść, w głowie szumiało mu od mieszanki wściekłości i alkoholu. Spojrzał na kulącą się u jego stóp drobną istotę. Uderzył ją jeszcze kilka razy, po czym splunął z pogardą w jej stronę. Kiedy mrugnął,

zobaczył przed sobą znajome biurko. Usiadł wygodniej w obrotowym fotelu, a na jego starannie wypielęgnowanych dłoniach na powrót błyszcząły srebrne pierścionki.

Na tym polegało teraz jego istnienie. W jednym momencie pijany katował żonę, w następnym przechodził obojętnie obok leżącego na ulicy człowieka, albo rzucał z mównicy pełne nienawiści hasła, zachęcany gorącymi okrzykami swoich zwolenników. Kradł, kłamał i złorzeczył, lub przeciwnie – milczał i nie podejmował działania. Nie był sprawcą, a świadkiem. Zamykany w ludzkiej skorupie nie potrafił pojąć, jak oni to znoszą. Jak mogą żyć w tak ograniczonej i bolesnej formie?

– Lucyferze, przyniosłem kawę i... – w pokoju rozległ się niepewny głos jednego z Braci, którzy brali udział w buncie. Zmaterializował się on z filiżanką czarnego napoju w rękach. Siedzący przy biurku pod postacią mężczyzny Diabeł, obdarzył przybysza ociekającym pogardą spojrzeniem.

– I? Doskonale wiesz nędzniku, że mogę czytać twoje myśli jak otwartą książkę. Wypowiedz to bluźnierstwo na głos, no dalej – wycedził przez zęby Lucyfer.

– Przyszedł list z Góry.

Diabeł zerwał się na równe nogi, wyrwał Bratu filiżankę i z wściekłością cisnął nią o ścianę. Kawałki porcelany rozsypały się po podłodze.

– Kłamiesz! – wrzasnął Lucyfer, chociaż doskonale wiedział, że nie ma racji. Brat bez słowa komentacza wyciągnął z kieszeni płaszcza kopertę, podał mu ją i zniknął. Szatan długo nie potrafił się prze-móc, żeby przeczytać ów list. Wreszcie zdecydowanym ruchem rozerwał kopertę i rozprostował niewielką karteczkę.

Drogi Lucyferze,

Pamiętaj, że możesz wrócić. W każdej chwili.

Kocham Cię

Tata

W ułamku sekundy wiadomość stanęła w płomieniach. Żal, gniew i nienawiść zalały falą umysł Diabła. Nie potrzebował miłości ani litości, gardził tymi uczuciami. Widział w nich wyłącznie synonimy słabości. Za to zło było potężne i z nikim się nie liczyło. Było... wspaniałe. Dlatego przydeptując butem dymiące resztki listu podjął decyzję. To koniec traktowania stanu, w którym się znalazł, jako „kary”. Zamiast tylko obserwować, będzie pomagał złu się rozprzestrzeniać. Będzie nakłaniał ludzi, aby robili złe rzeczy. Wargi Lucyfera wygięły się w okrutnym uśmiechu.

– *Uderz go, pokaż że jesteś prawdziwym mężczyzną. Będą cię wreszcie szanować w szkole* – szeptał jadowicie do podświadomości Bartka, zachęcając żeby pobił innego chłopca.

– *To niewielka kwota, nawet się nie zorientują* – bagatelizował wykradanie pieniędzy z portfela rodziców przez nastoletnią Anię. – *Poza tym bardzo potrzebujesz tych butów.*

– *Jedna noc to jeszcze nie zdrada, nikt się nie dowie. No weź, nie bądź takim nudziarzem* – racjonalizował plany Filipa dotyczące zbliżającego się spotkania.

Czasem manipulacja była dziecinnie prosta, innym razem musiał nieźle się natrudzić. Szybko rozsmakował się w cierpieniu ofiar oraz w palącym poczuciu winy sprawców. Satysfakcja jaką odczuwał ilekroć jego nikczemne podszepty osiągały zamierzony skutek była niesamowita. Tak, wreszcie miał władzę. Dostał to czego od zawsze pragnął.

Zamienił ten beznadziejny pokoik-więzienie na obszerną rezydencję. Później wypróbował wszelkie ludzkie przyjemności, z naciskiem na te czysto fizyczne. Do tego szkolił pomniejszych upadłe anioły w sztuce kuszenia, a efekty tej pracy były znakomite. I tak mijała wieczność. Ale jedna sprawa wciąż nie dawała mu spokoju.

– *Arielu, podaj moją szkatułę* – rozkazał pewnego razu Lucyfer.

– Oczywiście – odpowiedział Brat. Po chwili wrócił z bogato zdobioną skrzyneczką pod pachą. Diabeł kazał Arielowi wyjść, a kiedy pozostał sam, zabrał się za otwieranie szkatuły. W jej wnętrzu na szkarłatnej poduszeczce leżał niepozorny srebrny sekretnik. Ręce Lucyfera zadrżały, gdy opuszkami palców przesunął po me-

talowym łańcuszku. Opuścił swoją siedzibę i pod ludzką postacią wędrował przez ciemny las. Przedzierał się wytrwale przez zarośla, aż gęsta roślinność ustąpiła miejsca kamienistemu wybrzeżu. Fale z ponurą zaciętością uderzały o brzeg. Lucyfer szedł powoli, jakby chciał odwlec ten moment. Wreszcie stanął na granicy lądu i wody. Uniósł prawą dłoń, w której trzymał sekretnik. Wziął głęboki wdech i ostrożnie uchylił wieczko. W środku znajdował się proch ze spalonego liściku. Zachował te nędzne resztki wbrew rozsądkowi i logice. Wiedział co musi zrobić. Zamknął oczy i nie myśląc długo cisnął otwarty sekretnik do morza. Nic już nie pozostało. Po jego policzku popłynęła jedna jedyna łza.

Zuzanna Matuszczak (Ava), kl. 2

III Liceum Ogólnokształcące w Tarnowie

Zauję, że nie zadzwoniłem

Wchodząc do pomieszczenia, poczułem zapach stęchlizny, który uświadomił mi, jak dawno mnie tu nie było. A przecież dobrze pamiętam czasy, w których to miejsce było moim azylem. Dywan, teraz przykryty grubą warstwą kurzu, niegdyś był idealną przestrzenią do składania klocków LEGO, a parę lat później miejscem pierwszych wylanych łez, spowodowanych nieszczęśliwym zakonaniem.

Przechodząc po nim, zorientowałem się, że dawno nikt tu nie sprzątał, ponieważ kolorowe wzory widziałem już tylko oczami wyobraźni. Matka pewnie nie znalazła na to siły, bo od śmierci dziadka chyba nie była w najlepszej formie i mentalnej, i fizycznej. Mówię chyba, bo od tamtej pory z nią nie rozmawiałem. Przy śmierci dziadka, kiedyś najbliższej mi osoby, też mnie nie było. Mówię kiedyś, bo odkąd zaczął pić na umór i okładać mnie pasem po każdej pijackiej libacji, więź się skończyła na dobre.

Mimo wszystko było mi go żal. Zachorował na nowotwór wątroby i nie było szans na życie dłuższe, niż pół roku od diagnozy. Pa-

miętam, jak kiedyś, gdy jeszcze tu mieszkalem, w dwudniowym „ciągu” trzeźwości, zamyślony, spojrzał mi w oczy i powiedział słowa, których wspomnienie do dziś przyprawia mnie o dreszcze: „Gdy byłem w twoim wieku, moim największym lękiem było, by nie sprawić, że moi bliscy będą przeze mnie cierpieć tak, jak ja cierpiełem przez swoich”. Wiem, że nie chciał pić, ale jak inaczej zapomnieć o zmarłej żonie, zwolnieniu z pracy, czy przegraniu pieniędzy w kasynie.

On po prostu nie widział innego wyjścia.

Jednak miałem do niego pretensje. Do niego i do matki. Do niego za to, że mnie bił, a do matki, że nie reagowała, gdy to robił. „Daj spokój, dziadek nie chciał, on się po prostu trochę pogubił”. Nie zwróciła jednak uwagi na to, że ja też zacząłem się gubić i wkrótce moim marzeniem stała się wyprowadzka z domu. Gdy zdobyłem środki na skutecznienie pragnienia, zaczęło mi się robić szkoda matki. Ja wyjdę i nie wrócę, a ona już do końca będzie się musiała zajmować dziadkiem jak dzieckiem. Zaproponowałem, żeby wyprowadziła się ze mną, ale oczywiście nie mogła zostawić go na pastwę losu. Dziadka do domu bym nie przyjął, bo nie zniósłbym dłużej takiego traktowania. Tak więc matka została, a ja przysyłałem pieniądze zarobione w wielkim świecie. Wpadłem w wir roboty, żeby zarobić na mnie i na nich. Dzwoniłem do domu raz na tydzień, potem tydzień zamienił się w miesiąc. Zacząłem zapominać o nich, a oni chyba zapomnieli o mnie.

A teraz stoję tu na zakurczonym dywanie, w zakurczonym domu, we wspomnieniach mojego zakurzonego życia. Widzę stare albumy, książki i obrazy. Niemal czuję zapach perfum mamy i taniej wódki dziadka. Wdycham powietrze jeszcze raz i głośno je wypuszczam. Łzy zaczynają kapać mi z policzków. Czuję bezsilność i złość. Złość na świat, na ten dywan, na dziadka, ale mimo wszystko najbardziej chyba na siebie. Czuję smutek, którego powód przypomina mi donośny dźwięk dzwonu zapowiadającego nadchodzącą mszę. Mszę pogrzebową mojej matki.

**Julia Nguyen Van (Ranna Cebula), kl. 4
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle**

Raz Ostatni

1.

Otwarty dokument widoczny na ekranie jej telefonu nosi tytuł „zombie lesbijki furasy”. Na razie widnieje tam tylko plan wydarzeń, imiona bohaterek i parę niepoprawnych gramatycznie zdań. – Przecież nie dam tego na konkurs. Na pewno więcej niż osiem stron wyjdzie – pomyślała, patrząc jeszcze raz na ponumerowane akapity.

Ale by się chciała zrolować w brudnym dywanie pełnym piachu i sierści. Szkoda, że swój z pokoju już wzięła i wywaliła parę lat temu. Byłby idealny.

Zwisa od pasa w górę z łóżka. Kliknięciem wychodzi z dokumentu i włącza inny, zatytułowany „Sonder”, ze spisem jej duchowych wrażeń podczas podróży autobusem. Przegląda zapisane kluczowe słowa i na nowo je przeżywa.

– Poddaję się – stwierdza. – To nie ma żadnej historii. To jest po prostu zbiór doświadczeń. Scenę z kapliczką pewnie tylko wciśnę gdzie indziej, bo jest piękna. Zasluguje na bycie zapisaną. Ale reszta wpada do szuflady.

Zjeżdża całkiem z łóżka na podłogę i w tej samej chwili zrywa się na równe nogi. Podchodzi do biurka i pada rękoma na blat, próbując nie upaść na ziemię. Po paru sekundach mroczek przed oczami, sięga po długopis i skreśla „Sonder” z listy wiszącej na ścianie. Jedna rzecz do zrobienia w te wakacje z głowy. Jeszcze tylko dwadzieścia dwie. Dziś jest osiemnasty sierpnia.

– Biorę sobie za dużo na głowę – uznaje – ale lepsze to niż bezczynność.

Włącza muzykę w telefonie. Wybiera składankę o płynnych i idealnie pasujących do siebie brzmieniach. Nadała jej tytuł „tak brzmiałyby oceany, gdyby woda była masłem”. Podśpiewuje sobie.

Jakoś wyszło, że zaczyna odpływać w świat swojego dzieła życia (jak zwykle zresztą, kiedy odpoczywa przez 0,01 sekundy). Prawie miesiąc temu skończyła pisać pierwszy szkic swojej książki. Siedemdziesiąt rozdziałów. Sto trzydzieści tysięcy słów. Pięć i pół roku. Miała zrobić sobie paromiesięczną przerwę, ale już ją ręce świerzbią do edycji tej cegły. Zwłaszcza, że musi napisać pierwsze rozdziały od zera. Naprawdę wiele się zmieniło od tego czasu.

– To mi przychodzi na myśl całą tę podróż. – Klika przycisk stopu, a muzyka przestaje płynąć. – Skoro nie mogę wytrzymać tyle czasu bez tej historii, co będę robić, jak już to wydam?

Niby ma w planach parę innych opowieści, ale nic już nie będzie taką przygodą, jak jej pierwsza nowela, w którą włożyła całe swoje serce i duszę. Dlatego trzeba przedłużać to uczucie jak najbardziej się da. Nie jest jeszcze gotowa na dokończenie pisania tej historii, przynajmniej nie umysłem. Ignoruje chęć rąk i oczu do powrotu do jej niebieskich zeszytów. Jeszcze ma czas. Musi mieć ten czas. Nie może pozwolić, by to wszystko się skończyło.

2.

Otwiera sześciusetstronicową książkę w miejscu, gdzie spoczywa niebieska zakładka. Zajmuje jej parę minut, by powrócić do przedstawionego świata i zostać całkowicie przez niego pochłoniętą.

Czyta. Zbiera inspiracje. Czy tego chce czy nie, odpływa myślami do swojej historii. Jeszcze nie. Jeszcze nie czas się za nią zabrać. Najpierw ważniejsze rzeczy. Poukładanie sobie życia. Odpoczynek. Przerwa.

Czyta kolejny raz tę samą linijkę, ale słowa nie trafiają jej do tej części mózgu, która je rozumie. Zamyka książkę. Wpadła właśnie na nowy pomysł, który pewnie użyje do swojej książki. Wstaje i podchodzi do biurka, by zmaterializować go na jakimś papierze. Długopis przerywa dwa razy.

– Najpierw muszę się skupić na konkursie, skoro ma deadline. Później skończę „Duży projekt”. I jeszcze to jedno opowiadanie, które leży wpół zedytowane już blisko od dwóch lat. – Łapie się za głowę.

Dziewięć nieskończonych historii spoczywa w jej komputerze. Otwiera po kolei każdy z tych dokumentów. Jeżeli są krótkie, czyta je całe. Jeżeli są długie, czyta parę dobrych cytatów, które pamięta, i ostatnią linijkę. Nie ma siły, by zabrać się do dopisania chociaż jednego słowa.

– Co ze mnie za pisarz, skoro nie mogę pisać?

Zamyka oczy. Musi rozprawić się z tym sam na sam.

Otwiera oczy i klika w ikonkę swojej ulubionej gry.

– Kuszące. Pora na przerwę.

Wiele inspiracji zdobyła podczas grania w tę grę, wiele w niej się naczytała historii przedstawionego fantastycznego świata. Dlatego z jednej strony nie traktuje grania jako czegoś niewartościowego. To tak jak czytanie książki. Jednej z dwudziestu spoczywających w kolejce na jej półce.

Zapada noc i mimo jej przekonania o twórczym udziale tej gry w jej motywacji, na jej barki spada codzienne poczucie winy. Wstaje od komputera i podchodzi do okna balkonu, by popatrzeć na horyzont i pozwolić oczom odpocząć. Jakoś zaczęła robić to ostatnio w trosce o swój wzrok. Ale od dziecka jest wpatrzona w ekran, a okulary wciąż są jej niepotrzebne.

– Mogłam pisać w tym czasie. – Jej głowa ze stukiem opada na szybę.

To zdanie przewija się przez jej głowę przynajmniej dwa razy w ciągu dnia. Wieczorami zaś towarzyszy mu jeszcze pytanie.

– Mogłam?

Coś przecież skłoniło ją do kliknięcia w tę małą ikonkę z latającym stworkiem siedzącą spokojnie na jej pasku zadań. Przecież otworzyła te dokumenty i gapiła się na nie bez żadnej motywacji, by nacisnąć chociaż jeden klawisz z literą. Kogo by mogła oszukać. Nie byłaby w stanie napisać ani jednego logicznego zdania, a sama sesja skończyłaby się tylko wpatrywaniem w ścianę i mentalnym odlatywaniem Bóg wie gdzie.

– To dlaczego czuję się taka winna?

Myśl, że jednak by była w stanie przełamać pierwsze lody, spisując chociaż jakiś plan wydarzeń, zawsze idzie w parze z poprzednią odpowiedzią. Nierozłączne przeciwności.

3.

– Co ze mnie za pisarz, skoro jedyne, co potrafię, to siedzieć i patrzeć się w ścianę, rozmyślać o niepasujących do całości scenariuszach, pisać dwie litery dziennie? Wiem, co potrzebuję teraz zrobić, ale nie potrafię się przemóc. Dzień w dzień kręcę się w tym samym kręgu, sierpniowe upały dyktują mi plan dnia. Powtarzam te same codzienne czynności, unikając długopisów, zeszytów, dokumentów, a kiedy już je dostrzegę, odpływam. Cokolwiek inne staje się o wiele bardziej interesujące, moją uwagę przykuwa rój robaczków spacerujących wokół mojej lampy. Gdzie ja idę? Gdzie mogę w ogóle się znaleźć w swojej przyszłości, kiedy całkiem jej nie widzę? Kim będę? Kim mogę zostać?

Ususzony bukiet pachnie intensywniej niż zazwyczaj. Na znajomy smak ciemność znika sprzed jej oczu i wybudza się z patrzenia w ścianę. Znow to zrobiła. Otworzyła dokument i się zamyśliła.

– O czym ja myślałam?

Spojrzała na pierwsze słowa dokumentu. „Gdy otworzył swoje oczy”. Rymy są coraz trudniejsze. Łatwo przyciągają do siebie widok ściany.

– Udręka – stwierdza i pada skulona na biurko.

Każdy lęk, jaki kiedykolwiek doświadczyła na swojej pisarskiej drodze, spłynął jej na plecy. To, że ktoś zobaczy jej dzieło na etapie, kiedy jeszcze nie będzie gotowe. Lub to, że nieświadomie skopiowała coś, co już istnieje. Nieoryginalność. Złe źródła jej pisarskich badań. Niepoprawna reprezentacja. Lęk przed tym, że nie będzie w stanie się wybić, odznaczyć, dotrzeć do tych, którzy mogliby przeczytać jej dzieło. Niedocenienie. Odrzucenie. Zmarowanie całej tej pracy.

– Chcę tylko zaistnieć.

4.

Kopie lodówkę.

– Jestem zmęczona. Zmęczona baniem się.

Wchodzi po schodach do swojego pokoju trzymając w obu dłoniach po pięć kostek lodu. Przeklełaby teraz, ale pewnie nie może.

– Postanawiam się nie bać.

Musi to wyrzucić w swojej czaszce, póki ma dobry humor i jeszcze nie zmieniła zdania.

Nie przemyślała tego. I jak ma teraz pisać bez oblewania klawiatury.

Siedzi na krześle z wodą spływającą po jej przedramionach. Chłód wypełnia sam środek jej żył i kości, aż jej palce same ściskają lód jeszcze mocniej. Przed jej oczami stoi ekran z wyświetlonym dokumentem. Bez mrugania wpatruje się w migający wskaźnik pokazujący miejsce, gdzie pojawi się następny znak. Miga raz na ponad pół sekundy. To, jak bardzo się wymija z rzeczywistymi sekundami, jest drażniące.

Tik-tak, tik-tak. Po zmówieniu litanii przeciw strachowi, pod jej krzesłem zaczynają się tworzyć dwie zimne kałuże.

– Tak bardzo już mi się nic nie chce. Jestem zmęczona. Zmęczona wszystkim. A jednocześnie buzuje we mnie ta chęć do ruchu, stawiania kolejnych kroków i tworzenia. Ale moje ciało nie ma ochoty wykonywać rozkazów umysłu.

A jak ciało i umysł nie chcą ze sobą współgrać, pozostaje jeszcze dusza.

Unosi ręce i powoli kieruje je w stronę karku. Chłodne powietrze otacza tył jej głowy. Bierze oddech, prostuje plecy i dwoma ruchami wkłada pozostałości lodu między jej skórę a koszulkę. Zimno od razu ostro przenika w środek jej ciała i wędruje po kościach kręgosłupa. Krople spływają w dół jej pleców i sklejają się wraz z materiałem.

– Fakty są prawdą. Prawda rzeczywistością. Jestem pisarzem. Napisałam ponad sto trzydzieści tysięcy słów w swoim dziele życia. Dwadzieścia trzy i pół tysiąca w swojej pierwszej ważnej publika-

cji. Dziewięć opowiadań i trzynaście wierszy. Przynajmniej tuzin nowych pomysłów. Jestem pisarzem. Jestem pisarzem.

Patrzy na swoje dłonie. W jednej chwili zrywa się i biegnie do łazienki. Wyciera je w ręcznik. Wraca. Wspina się na swoje krzesło obrotowe, balansując i walcząc o przetrwanie.

– Jestem pisarzem i stoję na krześle, i robię wiele innych głupich rzeczy, ale istnieję i tworzę, i mam znaczenie, a jak nie mam, to sobie je nadam. – Schodzi z krzesła i przenosi swoje dłonie nad klawiaturę. Zanim dotknie pierwszego klawisza zadaje sobie jedno pytanie:

– Dlaczego piszę?

Na ekranie miga wskaźnik.

– Dlaczego piszę?

Klika w klawisz. Pojawia się jedna litera.

– Dlaczego piszę?

Klika w drugi klawisz. Druga litera nie pasuje do pierwszej.

– Bo, szczerze mówiąc, co innego mam robić. Od zawsze uciekałam od rzeczywistości w fantastyczne historie. Od nich nauczyłam się wiele. Więc co innego mogę zrobić, jak je uhonorować swoimi. Klika w trzeci klawisz. Spację. Tekst staje się coraz bardziej bezsensowny.

– Po prostu piszę to, co sama chciałabym przeczytać.

Kładzie ręce na biurku. Dziś jednak nie jest ten dzień.

– Tylko nie wiem, czy inni będą chcieli przeczytać to samo. Nie wiem, co zrobię, jak skończę swoją podróż. Ale może to jest coś, czego nie powinnam wiedzieć przed nadejściem tego.

Wstaje z krzesła i wychodzi na balkon. Opiera się o balustradę. Przemierza wzrokiem horyzont. Sylwetki zielonych gór i gęste chmury. Chociaż ten jeden dzień sierpnia jest chłodny.

5.

Pisze.

Gabriela Roszczyk (Gardia), kl. 4
IX Liceum Ogólnokształcące w Warszawie
Uśmiech w cieniu morwy

Z cicha śmiejący się los przysiada na gałęzi drzewa niczym czarna wrona, i przygląda się nieborakowi, co zajechał w osobliwe strony. Kraczącemu chichotowi akompaniuje rechot beczelnych żab z pobliskiego stawu. Co noc pulsuje zasklepiona glonami tafla wody, a wówczas najprzedniejsze ropuchy rozpoczynają koncert. Właśnie gad wyłazi z bagiennych koszarów, gdzie prawdopodobnie stał na długiej, nużącej warcie. A owo stróżowanie niewątpliwie zmęczyło żabiego wartownika, bo stracił uwagę. I oto koła bryczki toczą się po śliskiej skórze, tratują wypukłe oczy i skoczne kończyny! Tym bardziej chwije się złowróżbny ptak na wątłej gałęzi i kracze prześmiewczo. Powozowe koła stukają jednostajnym tonem o zgrabne kamyczki. Wtem turkot się gwałtownie urywa. Wśród ciemności zatrzymuje się licha szkapę wraz z właścicielem, który dobywa naftowej latarni. Miota nią dookoła, jakby trzęsła nim febra. Na taką nieprędko się lek znajdzie. Szczególnie między nagimi polami, leżącymi przez lata odłogiem i ponurymi stawami z szydzącą zgrają żab. Bowiem bryczka stoi równo za ostatnim przesłaniem krótkiego mostku, dając sobie otwartą drogę w niezbadane, puste przestrzenie.

– Cóż za kontury majączą przed nami w oddali, koniku? – woźnica klepie suchą szkapę po plecach, pochylając się do przodu, by lepiej rozeznaczyć, co wyrasta pośrodku pustkowia.

Odpowiada mu stłumione rżenie, bardziej podobne do przeciągłego westchnienia, niż radosnego parsknięcia. „Przekłeta kobyła! Smętna jak jesienny deszcz, a przygnębiająca jak gnijące na polu płody! Powinienem był ją dawno sprzedać, lecz nawet na pchlim targu by taka markotna nie uszła...”. Żółć się w nim ścina, jednocześnie chce splunąć ze wzburzenia na drogę. Stary chłopina wie, że czasu na bzdury nie ma, bo przed świtem trzeba się w mieście zjawić na rynku. Kolejną burę dla konia odnotowu-

je w pamięci, ale nie zdoła nic dobrze obmyślić, bowiem zacznie myśleć jakim sposobem chuderlaka za godziwą cenę sprzedać. Zatopiony w przemyśleniach nie uważa, by ostrożnie odłożyć wciąż trzymaną lampę. Pęka cienkie szkło naftowego lampionu, a zamiast złotych monet, klacz niewdzięczna przynosi mu pożar! Nieprzychylny wicher niespodziewanie nadchodzi znad suchego stepu, wzniecając płomienie jakby wołał: „rośnijcie w siłę! wyżej! rośnijcie wyżej!”, aż obejmują całą furkę.

– Patrz co mi sprawiłaś, kulawa chabeto! Nędza mi... nędza!
– krzyczy zapamiętałe, aż wreszcie płomyki zniecierpliwione podobnymi wołaniami dopadają do niego.

Ogień bucha w twarz spracowanego woźnicy, a ten poczyną wywijać się niby dostał nagłych spazmów. Trzaskają płomienie głaszcząc okopcone poliki, paląc wyłupiaste oczy, by oślepić drżącego mężczyznę. Ręce nazbyt mu osłabły, nogi zwęgliły, toteż przypominają skwierczące węgle wyciągnięte z piekarskiego pieca. Oddech zmienił się w płonące wyziewy trawiące go od środka, zatem słowa z siebie żadnego więcej nie wydobywa, za to w jakich agoniach szkapa! Wierzga, uciekać chce, lecz nie może przytwierdzona na siłę do wozu. Przywykła do częstego smagania biczem, jednak rozżarzony bat nie znając litości zadaje dotkliwsze kary. Grzywa staje się płomiennym grzebieniem, ogon ognistą szczotką, gdyż zmiata gorące, duszne powietrze. Wkrótce ubrana w jaskrawoczerwony kubraczek, dalej katuszy znosić nie potrafi, dlatego uginają się pod nią wątłe nogi i upada w agonialnym otępieniu na sparzoną ziemię. W płomieniach ozdobiony cały wóz, teraz z pewnością widoczny pośrodku odludzia, jako jaskrawa plama, czy też świetlny słup ognia. TriumfATOREM jednym jawi się nikczemny wiatr, który rozważnie szukał czegoś w scenie gorzkiej tragedii. Rozdmuchuje wióry i zwęglone opilki, wreszcie odnajduje zgubę. To samotny, czarny melonik starego woźnicy leży pod prawym kołem, widocznie rzucony tam w nieoczekiwanym biegu wypadków. Zefir podnosi skromne nakrycie głowy niby zakładając je na siebie i frunie. Gustownie odziany wdzięczy się i pyszni, pokazuje

jak elegancko wygląda, lecz widząc, że w samotni nie ma się przed kim chwalić, porzuca melonik nieopodal rozwidlenia.

Tu gdzie kamienna szosa rozdziela się niby pięknie rozdarta wstążeczka, stoi głęboka studnia. Spuszcza połamany dach na zardzewiały kołowrotek i patrzy w kierunku budowli, która wznosi się kilka kroków za nią. Wyblakła, pręgowana elewacja łypie złorzecząco na człowieka, a dekoracji dopełnia rząd równych okien z pourywanymi okiennicami. Gdzieś niedaleko jeszcze zwiesza się połamana framuga, przy czym szyby sztywno trzymają się ram. Wyżej, bo na wysokości drugiego piętra, od ściany odchodzi balkonik, wsparty na długich, kwadratowych kolumnach, które wyrastają z poziomu ziemi. Wobec tego przy gruncie odstaje zniszczona weranda bez żadnych krzeseł, chyba że odwrócone, opasłe donice mogą robić za stołki. Kominy latami nie czuły zapachu dymu, lecz po dachu nazbyt często spływał deszcz, bowiem nosi ślady zmytej farby na szarych dachówkach. Odrażające i upadłe domostwo otoczone jest wyschniętymi trawami porastającymi skromne podwórze. Zieloności brakuje przy opuszczonym domu, za to lukę w kwitnącej przyrodzie nadrabia ponura gra brązów i szarości. Od zachodniej ściany, gdzie okien wstawiono więcej niż dachówek, układa się karłowaty pień uschniętej morwy. Skręciła się w dziwnej pozie kładąc się prawie na wytartych trawnikach. W istocie jednak nie położyła swych ciężkich konarów na ziemi, a trzyma je w górze resztkami sił. Czy w spróchniałym, przegniłym pniu tętni jeszcze choćby iskierka życia? Nie wiadomo.

Oby odpowiedź na to pytanie znały trzeszczące drzwi na wyrwanych zawiasach, które wpuszczają do środka pustostanu powiew wiatru. Wraz z wiatrem we wnętrzu zagości porzucony wcześniej melonik, co upada sponiewierany w połowie korytarza. Wichura podrywa go jeszcze na moment i umieszcza pośrodku salonu, którego tapety złuszcza się od niepamiętnych czasów. Nakrycie głowy leży równo pod lustrem, ba! nie zwykłym lustrem, a monumentalnym, bogato zdobionym zwierciadłem o nieskazitelnie czystej tafli.

Chwila tępego odrętwienia... aż wreszcie dziwaczna sylwetka zaczyna wzrastać pod kapeluszem. Z początku melonik dostaje stóp, potem nóg, kształtuje się tułów, dłonie, ręce, a zwieńczeniem pozostaje głowa z nierówno uczesaną czupryną! Jegomość wylazłszy z kapelusza przeciągnął się niechętnie, jakby dopiero co zbudził go kto, i z gracją, a można by rzec z nonszalancją, poprawił przekrzywiony melonik. Wraz z tym nieoczekiwanym przybyciem wypogodziła się przygasła sceneria, jakby wizyta chuderlawego jegomościa cofnęła czas. Oto stoi rudera jak stała, lecz świeżo wystrojona, odmalowana, w swojej brzydocie czarująca – drwi z upływu lat! Wtem niespokojny tupot odzywa się na piętrze odciągając patykowatego mężczyznę od zachwyty nad własną urodą.

– Hej no bracie! Co wyczyniasz w moim gabinecie, nie starczy ci bałaganić we własnej komórce przy kuchni? Pokaż się no, duszo nieczysta, jeśliś co ruszył będzie z tego burda! – zachrypiał elegancik w meloniku, bez większego przejęcia, jak gdyby codziennością było podobne zwracanie się do towarzysza.

Niewielki dworek dzielił z nim bardzo utalentowany, młody człowiek. Poznali się pewnego razu, gdy ów młodzieniec wieczorową porą zastukał mosiężną kołatką do drzwi jegomościa, prosząc żalosnym głosem o schronienie:

– Choćby na jedną noc by pan przechował! Zubożałem ja znacznie, posadę tracąc w mieście i od tego czasu bieda wielka zmusza mnie do tułania się między polami... przychodzę z daleka, nie wiem gdzieś zawędrował. Jeśli pana serce dobre...

– Jakiej się pracy wcześniej chwytaleś?

– Poetą jestem, dobry panie.

Od kiedy tamtego gwiazdzystego wieczora raz go do domu wpuścił, tak pozostał strudzony młodzieniec na włościach miłośniernego gospodarza. Dostał klitkę przy kuchni, gdzie młodzik osiadł z głową pełną inspirujących myśli. Nie naprzykrzał się bardzo uczonemu, bo pracował w ciszy, jadał mało, a tylko czasem rozmową zabawił, słowem pisanym pocieszył. Osiadłszy na dobre w domostwie, upodobał sobie skarłowaciałe drzewo rosnące nie-

opodał domu. Wiosenną porą wychodził przed dwór, siadał przy zaprzyjaźnionej morwie i bazgrał wiersze na cienkich kartkach, kreśląc niemiłosiernie! W letnie wieczory zdarzało się nawet, że młodziak znużony trudną sztuką układania słów, zasypiał u stóp wiernej towarzyszki, a ona przykrywała go gałęziami, żeby od wszelkich niebezpieczeństw nocy uchronić. Niestety, ku nieszczęściu młodego pisarza, obiadując któregoś letniego dnia, gospodarz oznajmił, że morwa przeszkadza mu bardzo w skupieniu się na pracach naukowych, dlatego zamierza podłe drzewo „wyrwać z korzeniami i ukatrupić!”; tak mawiał. Na to młodziak się stanowczo nie zgadzał, lecz żale jego nie podołały, gdyż już następnego ranka opadły pierwsze konary.

Tej nocy pisarzyna wchodzi na piętro do gabinetu jegomościa i planuje, co by tutaj wyczynić złego, by zemścić się za cierpienia przyjaciółki. Nerwowe tupanie irytuje gospodarza, toteż bez słowa opuszcza stanowisko przed lustrem i wdrapuje się na górę. Chochlik słyszy zbliżające się kroki na drewnianych stopniach. Myśląc prędko chwyta kaganek od świeczki, leżący na biurku i mówi sobie:

– Ha! Już leci moja ćma do światła, kiedy dopiero zmiarkował, że skradzione! Dobrze, dobrze, ciekawe co powie, gdy utopię miedziane cudencko! – i w mig rzuca się do okna, niezgrabnie przeskakuje futrynę, by ześlizgnąć się na ziemię po mocnych pędach dorodnego bluszczu.

Do pokoju wpada karcące spojrzenie wielkiego uczonego, gwałtownie obraca głowę – w lewo, w prawo, jednak żadnego złodziejaszka nie znajduje. Wtem błednie mu żółtawa, sucha twarz, a kapelusz z przerażenia spada z głowy, dlatego zmuszony łapie go niezdarnie. Przez okno widzi „braciszka” upuszczającego prosto w gardziel studni miedziany, błyszczący przedmiot, a potem zdaje mu się, że słyszy głuchy plusk wody. Za daleko jest, by usłyszeć chłapnięcie, ale usta już posiniały ze złości, więc w szale rzuca się po pokoju. Wspiera się rękoma o zagracone biurko, para mu z nozdrzy bucha jak bykowi, a wtedy aż spada na podłogę kartka ze świeżymi notatkami.

– O! – burknął gniewnie, mówić więcej nie chciał, ponieważ do czynów się przymierzał.

BACH, BACH, BACH! Ze schodów omal nie spada, dlatego kurczowo przytrzymał się barierki. Przystanął na moment, jakby musiał się opamiętać i przypomnieć sobie, gdzie w jego własnym domu jest kuchnia. Rusza dziarsko do drzwi pisarskiej komórki, wydiera ze środka nieposkładany stos kartek i przypadkowy brulion obity ciemną, matową skórą. Niby koń apokalipsy zapowiadający wieczną wojnę, wjeżdża na podwórze uzbrojony w prace literackie, by twarzą w twarz stanąć z roześmianym młodzikiem.

Przypadkiem upuściłem miedziany kaganek oświaty, teraz będzie świecił gdzieś w odmętach brudnej wody. Liczę, że tam rozjaśni mchom umysły i będziemy mieć bardzo wyedukowaną studnię! Kto wie, drogi doktorze! Jak ładnie się skłonisz, pomachawszy uprzednio melonikiem, może dostaniesz od niej jakie życzenie – zawołał na widok wzburzonego gospodarza.

Jednocześnie błyszczący mu ogień zadowolenia w oku, a też obojętnie nie spojrzysz na ścięte gałęzie morwy. Śmieje się do niej śląc radosne pozdrowienie, pewnie gdyby mając przy sobie chusteczkę machnęła by nią w stronę przyjaciółki.

– Pan sterczysz tutaj, jakby go kto oczarował zwykłym starodrzewem! Do diabła z tymi pańskimi miłostkami, niech się topią, dostaną trochę wody to ostygną! – zagrmiał na widok ucieszonego, i gwałtownym ruchem karmi głodnego, bezkresnego potwora.

Nim młodzieniec zdążył powstrzymać furiata, rękopis i wszystkie nieułożone kartki spadały w bezdenną otchłań chciwej studni. W pierwszej chwili wytrzeszczył duże, ciekawskie oczy, po czym wreszcie niewiele myśląc, niczym szczupak, dał nura do środka szerokiego leja! Gospodarz niezdolny do najmniejszego ruchu patrzył zatrwożony na niknącą postać spadającą w głębiny, aż wreszcie woda wydała krzyk oznajmiający dno. Mógł wołać, badać, świecić w dół, lecz ani żadnego ruchu, ani żadnego dźwięku nie odnotował. Wrócił osierocony do dworu, noc niepokojną przespał z na wpół otwartymi oczami, z przestrochu nie zgasił świec.

W podobnym utrapieniu minąć mają dni kolejne, z pogłębiającym się smutkiem tygodnie, a widoczna rozpacz ogarnęłaby go na długie miesiące, może i lata, gdyby... nie wyjechał. Nieodwołalnie podjął decyzję, że opuści dwór gnębiący melancholijnymi wspomnieniami, pozostawi na pastwę losu odpoczywające na wieczność ciało towarzysza, a z niewypowiedzianą ulgą nie spojrzy nigdy więcej na okropne drzewo. Długo straszyło uczonego makabrycznymi cieniami, stuką do okien w północnej godzinie, huczały na nim kruki i okrutne puszczyki, zwiastując rychłe nieszczęście. Również życie stopniowo opuszczało marniejące drzewo, toteż przyszedł czas kiedy zaprzestało karać niepokojącymi pogroźkami. Udręczony więzień dawnych wydarzeń opuścił tragiczny dwór, a o morwę zatroszczyła się natura. Rzęsiste deszcze podlewały jej strapione korzenie, słońce głaskało życzliwie wyschłe konary, lecz ona stopniowo gniła w tęsknym humorze, topiła się we łzawych obrazach aż wreszcie... został tylko czarny, pokrzywiony pień.

Chwila tępego odrętwienia... Bezczelne wietrzysko wpuszczone do dworu bawi się rondlami i patelniami w kuchni. Dzwoni nimi o siebie wybijając metaliczną piosenkę, której ni rytmu, ni melodii nie sposób określić. Melonik dalej leży złożony przez kapryśne powiewy tuż pod lustrem. Jest za niski by wspiąć się na wysokość zwierciadła, więc nie przegląda się, a wyleguje bez celu na połamanych kaflach. Jednak cóż to za wymyślne serpentyny falują w krzywych szybach? Nieprzerwanie odbijają one czerwono-żółte języki kłuszące dogasającą bryczkę. W milczeniu tańczą na szklistych taflach – tak oto płonie kaganek oświaty.

Kinga Skrok-Wolska (Brzytwa), kl. 1
Zespół Szkół Leśnych w Lesku

Łowca kredek

Pojazd cicho sunął po błyszczącym białym śniegu. Szerokie płozy zostawiały za sobą płytkie ślady. Jak okiem sięgnąć widać było płaską, białą powierzchnię z porozrzucanymi tu i ówdzie białymi skałami. Po chwili ziemia się skończyła i wydawać by się mogło, że maszyna zaraz spadnie w przepaść, ale ona po prostu dalej płynęła w powietrzu. Wokół niej padały wirujące płatki śniegu.

Siedzący w przypominającym skuter śnieżny wehikule, mężczyzna przekręcił rączkę i wzniósł się. Po kilku minutach jazdy w oddali zamajaczył kolejny spłachetek ziemi, niemal identyczny jak poprzedni. Pojazd płynnie na niego wjechał i zatrzymał się obok dużego białego głazu. Zszedł z pojazdu, odchylił skałę na bok, a następnie ściągnął z bagażnika duży, poplamiony cieczami w najróżniejszych kolorach, worek. Wrzucił go do tunelu, po czym sam do niego wskoczył, przywiązawszy uprzednio pojazd. W końcu był w domu.

Edward rzucił pakunek w kąt przedpokoju i zmienił buty na inne. Po długim, ciężkim dniu tropienia kredki był wyczerpany, ale wiedział, że to nie koniec pracy na dzisiaj. Musiał jak najszybciej spuścić ze stworzenia w worku krew, zanim ta stężeje i nie będzie jak jej wydobyć. Dzisiaj łowca miał szczęście. Udało mu się schwytać czarną kredkę – jedną z cenniejszych, a może nawet najcenniejszą. Jej rozcieńczona krew była kalorycznym paliwem, nierozcieńczona – znakomitym, bardzo trwałym barwnikiem do wszystkiego.

Mężczyzna po cichutku, by nie obudzić śpiącego na legowisku kozła, otworzył drzwi do pracowni, w której pozyskiwał gotową do wysłania krew. Wykonując znane już na pamięć ruchy i sprawnie otwierając kolejne żyły, rozmyślał nad wydarzeniami, które sprawiły, że musiał teraz pracować.

Swój fach wykonywał już od dłuższego czasu, podobnie jak jego pobratymcy. A dokładnie od czasu, kiedy dziwne istoty przybyły do ich krainy i zaczęły węszyć w poszukiwaniu bogactw. Kiedy odkryli tubylców, niesamowicie się ucieszyli. Od razu rozpoczęli przygotowania do wojny, która była jedną z ich ulubionych rozrywek. W końcowej fazie, kiedy dzień ataku był już ustalony, grupa badaczy odkryła kredki – jedyne barwne stworzenia w okolicy.

Należy tutaj zaznaczyć, że ani Edward, ani jego pobratymcy nie mieli pojęcia, czym są kolory. Mieli bardzo słabo rozwinięty zmysł wzroku i chociaż wyraźnie rozróżniali poszczególne przedmioty, widzieli świat tylko w czerni lub bieli. Dziwni przybysze sądzili, że to wynik panującej wokół dominacji tychże barw. Łowcy rozpoznawali kredki po ich charakterystycznym zapachu.

Początkowo nikt nie wiedział, czym są rzeczy, o których z zapalem rozmawiają tajemniczy przybysze. Wkrótce przynajmniej jedna rzecz stała się jasna – chcieli kolorowych istot. A dokładnie ich krwi, która zależnie od barwy miała inne właściwości: z części powstawały metale, z innych paliwa, a jeszcze inne miały właściwości lecznicze, wybielające itd. Wszystkie mogły też służyć jako niemający sobie równych barwnik. Był to bardzo rzadki, cenny towar, który nietutejsi koniecznie chcieli posiadać. Na przeszkodzie stanęły warunki, w jakich tajemnicze stworzenia żyły. Początkowo schwytano kilka okazów i podjęto próbę założenia hodowli kredek, co jednak bardzo szybko zakończyło się niepowodzeniem – po kilku dniach zamknięte w ciasnych klatkach istoty zagłodziły się na śmierć. Następnie próbowano je łapać, ale na sam widok obcych, opatulonych stworzeń, uciekały w niedostępne dla przybyłych miejsca. Nieprzyzwyczajeni do tu-tejszych warunków nieproszeni goście nie byli w stanie poradzić sobie z panującą w krainie, nazywanej teraz „kredkową”, pogodą. Po wielu bezowocnych próbach uznali, że zadanie chwytania kredek po prostu ich przerasta.

Wówczas zaproponowali tubylcom układ. W zamian za to, że nie zrobią z nich niewolników, ci mieli co roku dostarczać im odpowiednią ilość krwi barwnych istot.

Ludność krainy uznała to za oburzające i męczące zadanie, jednak niefortunnie przybycie obcych zbiegło się w czasie ze śmiercią Matki – wiekowej już istoty. Tradycyjnie, kandydaci do objęcia władzy zaczęli ze sobą walczyć i szukać stronników. Przybysze umiejętnie wykorzystali chaos i sprawili, że nowym władcą został ich zwolennik, który zgodził się na płacenie haraczu w zamian za pokój...

Nie była to wina Edwarda, że ciągle rozmyślał o tym samym. Jego najlepszy przyjaciel (drugi najlepszy, jeżeliby nie liczyć kóz) już jakiś czas temu stwierdził, że poddaństwo ich ludu jest haniebne. Ponadto uznał, że nie wolno mordować niewinnych istot, że to nieetyczne, i że koniecznie trzeba coś z tym zrobić. Ciągle powtarzał to samo, ale nie zrobił nic, by zrealizować swój zamiar.

To nie tak, że nie próbował, po prostu nikt nie czuł potrzeby stworzenia czegoś, co Igo nazywał „ruchem oporu”.

O wilku mowa – pomyślał mężczyzna, nacinając żyły kredek. Właśnie usłyszał trzask zamykanego wjazdu. Igo też skończył już pracę i przyszedł do niego. Lubił, kiedy przyjaciel do niego przychodził. Mimo że robił to, żeby snuć historie o nieistniejącym ruchu oporu, od czasu do czasu dobrze było porozmawiać z kolegą.

Łowca nie mylił się. Sapiąc, korpulentny mężczyzna schodził po schodach. Skinięciem głowy przywitał się z przyjacielem.

– I jak tam z działalnością konspiracyjną, wciąż tak źle, jak wcześniej? – zagaił Edward uszczypliwie.

– Tak, a nawet gorzej, ale może zacząłbyś od jakiegoś „cześć”? – odparł tradycyjnie nieurazony Igo. Nie był osobą, która byłaby w stanie obrazić się o cokolwiek, a poza tym znał Edka na tyle długo, by wiedzieć, że ten ma dziwny charakter i problemy z wyrażaniem emocji.

Przyjaciele uściśli się. Kiedy Edward kończył pracę, Igo krzątał się po kuchni i opowiadał o żonie i dzieciach. Przyrządzał swoje popisowe danie – drobno posiekane grzyby w najróżniejszych kolorach. Po niedługiej chwili zasiedli razem do posiłku. Z apetytem pochłaniali śluzowatą potrawę o konsystencji galaretki.

- Jak tam praca? – zapytał Edward. W przeciwieństwie do niego samego, Igo nie był łowcą. Zajmował się podziemną uprawą grzybów, które mieszkańcy krainy jedli każdego dnia. Nie znali nic innego, a poza tym zmysł smaku był u nich nie najlepiej rozwinięty.
- Dobrze, jak zwykle zresztą. Ale do rzeczy! Przyszedłem do ciebie w konkretnej sprawie!
- Mhm? – odparł Edward, przełykając resztkę brei.
- Chciałbyś udać się ze mną w miejsce, w którym znajdują się imperatorskie kamienie?
- O czym ty znowu bredzisz... – westchnął łowca. – Naprawdę wierzysz jeszcze w bajki dla dzieci?
- A jeżeli to nie są bajki? Zawsze warto spróbować! Podjąć ryzyko! Ruszyć na męską wyprawę! Odmienić swój los! – zapalił się Igo.
- Chłopie, jesteś niepoważny. Nie jesteśmy już dziećmi, żeby szukać w realnym świecie postaci z legend, w których tak namiętnie się rozczytujesz. Poza tym, czym w ogóle są te „imperatorskie kamienie”?
- To po prostu inna nazwa kryształów, które po dotknięciu dowolnej rzeczy natychmiast ją niszczą.
- I gdzie te kryształy miałyby się znajdować?
- W gnieździe kredek – odparł Igo. – Moglibyśmy tam iść i spróbować je zdobyć, po to, żeby...
- Wymordować te wścibskie panoszące się w naszej krainie istoty, które urządzają sobie tutaj wycieczki i opracowują nowy sposób łapania kredek, żeby móc w końcu zrobić z nas niewolników, względnie pokazywać w zoo – takim rodzaju więzienia – dokończył Edward, któremu cały ten pomysł zaczął się podobać. Zaświeciły mu się oczy, a na twarzy pojawił się dziwny uśmiech.
- Właśnie!
- Ale to wymaga przecież wysiłku. Dlaczego miałbym z tobą wyruszyć na wyspę kredek? Przecież zawodowo zajmuję się zabijaniem jej mieszkańców – okazał swoje zwątpienie łowca.
- Aha! – wykrzyknął Igo. – A więc: wyruszysz, ponieważ jesteś starym dziadem, który wolałby siedzieć w domu ze swoim kozłem, niż codziennie ruszać na łowy. Jeżeli zaś chodzi o twój fach, to

właśnie dlatego po ciebie przyszedłem. Pojedziesz ze mną, w imieniu łowców obiecasz poprawę i okażesz skruchę, w wyniku czego kredki nie będą szukały zemsty za zamordowanych towarzyszy.

– Jesteś niepoprawnym optymistą – stwierdził Edward. – Mimo to zgadzam się na tę wyprawę. Proponuję, żebyśmy wyruszyli w przyszły wolny tydzień, kiedy będzie trwało święto.

– Dobry plan! Więc jesteśmy umówieni. – Igo poderwał się z krzesła i ruszył do wyjścia. – Cześć!

– Czekaj! A gdzie się spotkamy? – chciał jeszcze wiedzieć łowca.

Ale przyjaciel już zniknął. Edward uśmiechnął się i podśpiewując pod nosem posprzątał po kolacji, a z rozpędu umył jeszcze cały dom. Nie podróżował już od ładnych kilkunastu lat.

O umówionej porze Edek czekał na towarzysza. Spakował wszystkie potrzebne rzeczy, czyli trochę suszonych grzybów i ciepły kocik. Kozioł został pod opieką jego siostry, więc miał pewność, że nic mu się nie stanie – co najwyżej trochę przytyje na jej obfitych obiadkach.

Nagle usłyszał za sobą jakiś łomot i odwrócił się. To Igo nadciągał. Z trudem utrzymywał się na pojeździe. Edward patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Chyba sobie żartujesz – powiedział zszokowany. – Dlaczego wzięłeś ze sobą ... no cóż, górę rzeczy? Jak masz zamiar dojechać na miejsce? Przecież już teraz twój pojazd ledwo daje radę.

– Nie zabrałem wcale wielu rzeczy! Spakowałem się tak minimalistycznie, jak to tylko możliwe!

Na te słowa Edek westchnął, celnym kopnięciem strącił z bagażnika przyjaciela wielki wór i nie zważając na jęki przyjaciela, stanowczo nakazał mu wybrać z pakunków potrzebne rzeczy (Igo zabrał ze sobą jeszcze ciepłe kapcie z króliczymi uszami).

Wędrowcy kierowali się w stronę najwyższej wyspy powietrznej. Według podań w jej wnętrzu znajdował się matecznik kredek. To tam składały jaja i wychowywały młode. Żyły pod ziemią, gdyż tak jak wszędzie w tej krainie, powierzchnia była zimna, ruchliwa i nieprzyjazna jakimkolwiek istotom. Za dnia padał tam suchy, sypek śnieg, a w nocy tnące, bardzo ostre ziarenka piasku.

Przyjaciele wędrowali. Dnie spędzali na milczącej jeździe, nocami spali skuleni w swoich pojazdach. Początkowo pełen wigoru Igo wyraźnie osłabł, natomiast Edward był pobudzony tak jak nigdy przedtem.

Po kilku dniach podróży przyjaciele dotarli na miejsce. Od razu wiedzieli, że to ląd, którego szukali. Na tle czarnego nieba wyspa wyglądała jak dwa sklezione za sobą podstawami stożki. Wokół niej kotłowała się niezliczona rzesza kredek. Powietrze aż drżało od ostrych, przenikliwych pisków, jakie wydawały z siebie ruchliwe stworzenia.

Bohater stał na krawędzi lądu znajdującego się pod wyspą kredek i zastanawiał się, jakie czeka ich tam przyjęcie. Po chwili uznał, że dowie się tego jutro. Zjadł garść grzybów i dołączył do śpiącego już Igo. Zapadł w błogi sen.

Kiedy następnego dnia otworzył oczy, zobaczył otaczające go kredki. Piszcząc, podpełzały do pojazdu i wbijały w niego pionowe ślepie. Nagle wszystkie naraz zastygły w bezruchu i spojrzały mu w oczy.

„Imperatorowa cię oczekuje. Zaprowadzimy cię do niej.”

Chóralny głos rozległ się bezpośrednio w głowie Edka.

– A co z moim towarzyszem? – zapytał.

„Z nim porozmawia w następnej kolejności. Najpierw ty. Chodź.”

Edward powoli wstał, obudził Igo i krótko nakreślił mu obraz sytuacji. Ten mruknął coś pod nosem i obrócił się na bok. Łowca zostawił mu wiadomość, wsiadł na pojazd i podążył za kredkami. Te poprowadziły go w stronę wyspy. Dopiero teraz spostrzegł, że na dolnym czubku lądu znajduje się otwór prowadzący do gniazda. Przez dłuższą chwilę leciał przez długi tunel. Na polecenie przewodników zatrzymał się w olbrzymiej sali, na środku której leżała zwinięta najmniejsza kredka, jaką łowca w życiu widział. Gdy do niej podeszedł, przemówiła.

„Co sprowadza cię w te strony? Do tej pory nikt się tutaj nie zapuszczał.”

Edward pokrótce streścił jej wydarzenia, które doprowadziły go aż tutaj. Imperatorowa nie przerywała mu, ale cały czas wpatrywała się w niego intensywnie.

„Chcesz zatem naszych skał, aby zniszczyć natrętów i odzyskać spokój, jakim cieszył się twój lud przed ich przybyciem?”

– Tak, w istocie, o to chodzi.

„I do realizacji tego przedsięwzięcia potrzebna ci nasza pomoc. Wy nie możecie dotknąć kryształków.”

Łowca przytaknął.

„Jeżeli wyeliminowanie tych uciążliwych istot rzeczywiście polega na posypaniu ich terytorium proszkiem uzyskanym ze zmielenia skał z naszego gniazda, to dlaczego przychodzicie do nas po tylu latach?”

– Mimo poddaństwa nasz lud prowadził spokojne, dostatnie życie i nie przeszkadzała mu konieczność zabijania kredek. Sytuacja zmieniała się, ponieważ przybysze zaczynają urządzać sobie wycieczki po naszym terenie i przeszkadzają nam w życiu. Są po prostu... irytujące.

„Rozumiem. Porozmawiam jeszcze z twoim towarzyszem, przemyszę sprawę i ewentualnie przedstawię swoje warunki.”

Edward pożegnał się, a przywołane przez władczynię kredki zaprowadziły go do sąsiedniej sali, w której czekał na wynik rozmowy z Igo.

Potem sprawy potoczyły się bardzo szybko. Rozpromieniony przyjaciel wpadł do pokoju, wymachując jakimiś dziwnymi roślinkami i krzycząc coś o nowych daniach, jakie dzięki nim stworzy.

Edek ściągnął go na ziemię i wypytał o przebieg rozmowy. Dowiedział się tyle, że sprawy poszły pomyślnie i aktualnie Imperatorowa zastanawia się nad propozycją zniszczenia denerwujących przybyszów.

– Już jutro będziemy znali jej werdykt – zakończył swą opowieść Igo. A to – wyjaśnił, widząc zdeorientowanie na twarzy Edwar-da – są przyprawy, którymi się żywią. Zauważyłem je na ścianie, a one po prostu pozwoliły mi je wziąć. Niesamowite! Teraz ko-

niecznie muszę coś zjeść – powiedział, wyciągając z kieszeni paczkę grzybów.

Nazajutrz obaj udali się do władczyni, która sprawę osądziła pozytywnie. Przez noc kryształły zostały zmielone i spakowane do toreb, które kredki do zadań specjalnych jeszcze tego samego dnia dostarczyły nad krainę intruzów i rozsypały równomiernie, doszczętnie niszcząc ich populację. Akcja przebiegła zgodnie z planem, a zmordowana grupa wróciła wieczorem i zdała relację z misji.

„Wyparowali razem z proszkiem” – takiego sformułowania użyli, opisując działanie kryształków.

Przed odjazdem Imperatorowa wezwała Edwarda na specjalną rozmowę. Podziękowała mu serdecznie za podsuniecie pomysłu na zniszczenie intruzów. Kiedy zapytał ją, co sądzi o jego dotychczasowej pracy, stwierdziła, że cieszy się, że wytrzebił kredki, które dały mu się złapać.

„Nasza populacja stała się silniejsza.”

Ponadto stwierdziła, że gdyby zostały jej jeszcze jakieś kryształki, zniszczyłaby również jego gatunek. Tak dla zabawy.

„Może to i dobrze, że się skończyły?” – wyszczała na pożegnanie.

Ta historia zakończyła się pomyślnie dla obu stron.

Po powrocie do domu Edward zajął się pisarstwem i został jednym z najwybitniejszych artystów swojego okresu. Napisał także poradnik „Jak odchudzić kozła”, który zdobył niezwykłą popularność wśród posiadaczy kozłów i sióstr.

Igo stał się wybitnym kucharzem i założył własną sieć restauracji. Opracował nowatorski sposób jedzenia grzybów z przyprawami, dzięki któremu stał się rozpoznawalny w całej krainie.

Bohaterowie nie wyruszyli już nigdy w podróż, ale przyjacielmi zostali do końca życia.

Kredki nigdy już nie zapuściły się na tereny byłych łowców, a byli łowcy na ich terytorium, i żyli obok siebie w zgodzie.

I wszyscy na śniadanie, obiad i kolację jedli już zawsze grzyby z przyprawami.

**Julia Liptak (Julia Apolonia), kl. 3
Zespół Szkół Ogólnokształcących
w Nowym Targu**

Migdałowe Wzgórze

Pani Libody miała w zwyczaju opowiadać nam przed snem niecodzienne, lecz fascynujące historie; o chłopcu, który zbierał rzepty, czarownicy, której kocur odleciał na miotle, czy szczurze grającym na rurach. Niesamowicie niepodobne do siebie bajki, co noc potrafiły wprawiać w zachwyt nawet te najmniej zainteresowane spokojem dzieciaki w sierocińcu. Z każdym nowym dniem oczekiwaliśmy na nadejście nocy, by usłyszeć kolejną opowieść Pani Libody. Przy śniadaniu rozprawialiśmy o morałach wieczornych historii, podczas obiadów zastanawialiśmy się o czym tym razem nam opowie, a gdy nadchodziła kolacja nikt nie dopijał swojego mleka z ekscytacji. Biegliśmy do łóżek jak zaczarowani tajemniczą melodią. Gdy na niebie pojawiała się pierwsza gwiazdka, Pani Libody zjawiała się w drzwiach ze świecą w dłoni. Uwielbiałem wyobrażać sobie, że tak naprawdę dzierży w dłoni magiczną różdżkę, którą lada chwila wyczaruje dla nas nowy, bajkowy świat. W swojej kremowej koszuli nocnej oraz szlafroku w kolorze butelkowej zieleni, siadała na podłodze, a my zbieraliśmy się wokół niej pełni podekscytowania. Jej twarz promieniała uśmiechem najdelikatniejszym ze wszystkich uśmiechów, gdy nas obserwowała.

– Czy chcecie wysłuchać kolejnej opowieści? – pytała, a my przytakiwaliśmy ochoczo.

Brała zatem głęboki wdech – a był on pełen napięcia – a następnie dawała się ponieść swojej wyobraźni. Razem z nią wkraczaliśmy w bajkowy świat, który dawał nam ukojenie w codziennym niepokoju dzieci porzuconych. Ilekroć wpływaliśmy na nieznanne wody, Pani Libody dzielnie trzymała stery naszego statku, a fale – nawet podczas sztormu – uspokajały się pod muśnięciem prowadzonego przez nią okrętu. Niezapomniane były chwile tej osobliwej przygody, poprzez morza nowych bohaterów, wydarzeń oraz

głębokiej nadziei. Cieszyliśmy się nią nawet, gdy dopływaliśmy do lądu, gdzie czekały na nas jedynie szorstka pościel oraz wiara, że gdy zmrzemy oczy nie przyśni nam się żadna senna mara.

Co ciekawe, historie Pani Libody choć zdawały się zupełnie różnić, w rzeczywistości miały coś wspólnego. Bowiem, nieważne czy głównym bohaterem była wróżka, która straciła swoje skrzydła, czy może stary rzeźbiarz, którego wszystkie dzieła zniknęły jednej nocy – w każdej swojej opowieści Pani Libody mówiła o Migdałowym Wzgórzu. Rozwiązaniem problemów każdej postaci – nieważne czy szukały skarbu, gwiazd czy spokoju – było wzgórze pełne rozrzuconych boską ręką migdałów. Pani Libody wierzyła, że każdy kiedyś je odnajdzie. Opisywała to miejsce z taką pasją, że i my również marzyliśmy, by tam trafić. Wierzyliśmy, że na tym wzgórzu wreszcie będziemy mogli mieć swoje własne zabawki, kolorowe pidżamki, ciasteczka przed obiadem oraz dom – ciepły, przytulny i bezpieczny. Do tej pory jedynie Pani Libody swoimi opowieściami potrafiła sprawić, że choć trochę czuliśmy się chciani i kochani. Nie istniało dla mnie – osieroconego siedmiolatka – nic lepszego niż zasypianie po kolejnej historii, snując marzenia o tym jak beztrósco biegam po Migdałowym Wzgórzu ze swoim psiakiem, na niebie słońce uśmiecha się do mnie beztrósco, a wtedy i ja unoszę kąciki ust i wiem, że świat wreszcie naprawdę stoi przede mną otworem.

Wszystko to zmieniło się jednak pewnego poranka. Gdy wieczorem Pani Libody opowiedziała nam bajkę o słoniu, który odnalazł zaginioną fretkę na Migdałowym Wzgórzu, zapewniła nas bardzo mocno, że nigdy nas nie opuści. Robiła to codziennie, a jednak – rano nie pojawiała się na śniadaniu. Wszyscy byliśmy zdziwieni. Uznałem jednak, że pewnie sprawy, które zazwyczaj załatwiała w mieście zanim kogut zdążył zapać a my wstać z łóżek, przedłużyły się. Nie zaprzatając sobie tym głowy, kontynuowałem wyciąganie rodzynek ze swojej owsianki. Jednak do końca dnia nikt z nas nie widział Pani Libody, a jej miejsce zdawały się wypełniać jedynie tajemnicze szepty i niewygodne przeczucia. Kiedy niebo poczerwiało, a pierwsza gwiazdka zamrugała do nas

radośnie, wszyscy spodziewaliśmy się zobaczyć naszą ukochaną Panią Libody. Mijały jednak godziny – długie, nudne i uciążliwe – a ona nie pojawiała się. Coraz więcej dzieci kładło się spać próbując wytłumaczyć mi, że czekanie jest bez sensu. Ale ja nie mogłem tak po prostu zasnąć – nie, gdy nie usłyszałem bajki na dobranoc. Siedziałem więc do rana na zimnej, twardej podłodze, wpatrując się w stare brązowe drzwi, nie mrużąc nawet oka.

Zapał kogut, wzeszło słońce, mgła rozplynęła się w powietrzu – ale Pani Libody nie przyszła.

Na śniadaniu wbiłem pusto wzrok w moją miseczkę. Obserwowałem kożuchy pływające w mleku, jak łódki dryfujące po szafirowych wodach – takich jak te, które w jednej historii prowadziły jednorękiego chłopca na Migdałowe Wzgórze. Z tą myślą uniosłem głowę i rozejrzałem się po moich koleżankach i kolegach jedzących z ponurymi minami, następnie po długim stole wychowawczyń, zatrzymując wzrok na pustym miejscu należącym do Pani Libody. Nagle poczułem, jak wzbiera we mnie złość. Dlaczego wszyscy byli tak obojętni wobec jej zniknięcia? Jak oni mogli jeść spokojnie śniadanie, spać w nocy i rozmawiać? Wstałem tak gwałtownie, że omal nie rozlałem mleka. W jednej chwili, zaskoczone oczy wszystkich zwróciły się w moją stronę.

– Gdzie jest Pani Libody? – zapytałem, kierując pytanie do wychowawczyń.

– Usiądź, chłopcze – odpowiedziała obojętnie Pani Gertruda, kobieta zgorzkniała i pomarszczona jak stara śliwka.

– Gdzie jest Pani Libody! – krzyknąłem znów.

– Siadaj! – odparła znowu machając ręką, jakby odganiała od siebie wyjątkowo irytującą muchę – Uspokój się i jedz!

Nie miałem zamiaru dać za wygraną. Widząc, że stara Gertruda mnie ignoruje, wszedłem na ławkę i zaciskając ręce w pięściach dla dodania sobie odwagi, wrzasnąłem po raz ostatni:

– Gdzie jest Pani Libody! Nie opowiedziała nam bajki na dobranoc! Nie umiem zasnąć bez jej opowieści!

Tym razem Gertruda, której usta zacisnęły się w cienką linię wstała, a zaraz po niej dwie inne wychowawczynie.

– A więc będziesz musiał się nauczyć. Już nie zobaczysz Pani Libody. Ona odeszła.

Wydawało mi się, że ktoś oblał mnie wiadrem lodowatej wody. To niemożliwe. Nie mogła...

– Dokąd? – zadałem pytanie roztrzęsiony. – Bez pożegnania?

– Usiądź, zaraz wszystko ci wyjaśnię...

– Nie! Nie chce wyjaśnień! Chcę zobaczyć Panią Libody! Teraz!

W oczach zapiekły mnie łzy, a w gardle zawiązał mi się niewidzialny supeł. Krzyczałem, tupałem i płakałem chcąc, by okropna, stara Gertruda przestała kłamać. Stłukłem miseczkę z mlecznymi kożuchami, które nagle wydały mi się nadzwyczaj obrzydliwe. W żaden sposób nie przypominały mi już łódek. Liczyłem, że jeśli pokażę swoją wściekłość, stara Gertruda zamieni się magicznie w Panią Libody, śmiejącą się do rozpuku, że udało jej się nas nabrać. Tak się jednak nie stało. Wychowawczynie wyprowadziły mnie z jadalni i zamknęły w samotnym pokoju na piętrze, gdzie trafiały czasem niegrzeczne dzieci. Waliłem więc w drzwi, a kiedy zmęczył mnie mój własny krzyk, usiadłem na zakurzonej podłodze i załkałem cichutko.

Niczego nie rozumiałem. Pani Libody zawsze mówiła, że nas kocha, że nigdy nas nie opuści. Ba, obiecała nam to swojego ostatniego wieczora. A teraz nagle, tak po prostu odchodzi? Bez słowa, łamiąc obietnicę! Opowiadała nam historie, świecą oświeślała mrok, odganiała nocne koszmary – dała nam dom, który wszyscy utraciliśmy.

A teraz i ona swoim odejściem nam go odebrała.

– Kto daje i odbiera ten się w piekle poniewiera... - wyszeptałem wycierając rękawem łzy.

Miałem nadzieję, że Pani Libody niespodziewanie zmieniała się w jeden z obłoków kurzu na podłodze i słyszy mój zawód. Położyłem się na ziemi i zwinąłem w kłębek. Do wieczora łkałem cicho z ogromu niesprawiedliwości, która zdawała się stać nade mną z rozpostartą paszczą w tym maleńkim pomieszczeniu. Po kolacji pozwolono mi wrócić do pokoju.

Dopiero tam uderzyła mnie faktyczna prawda szarej rzeczywistości. Moi koledzy i koleżanki niezależnie od wieku, siedzieli w małych grupkach pocieszając się wzajemnie. Wyglądali jak małe pchły, których ktoś znowu próbował się pozbyć. Przyglądając się im zrozumiałem, że choć odebrano mi kogoś ważnego, wcale nie zostałem sam. Każdy z nas kochał Panią Libody i wszyscy zostaliśmy dotkliwie zranieni, gdy wszelkie drzwi, które kiedykolwiek przed nami otworzyła, zatrasnęły się niespodziewanie z hukiem. Pani Libody zawsze powtarzała, że my – dzieci porzucone – kochamy niepowściągliwie, a nasze serca biją rytmem dla innych niezrozumiałym. Nigdy nie przyszło nam jednak do głowy, że to właśnie ona wbije w nasze czyste serca drzazgi, które na zawsze zachowamy.

Pani Libody nas oszukała. Dbała, tuliła i uczyła, dając słowo, że zawsze przy nas będzie. Aż nagle obróciła się w pył – a razem z nią Migdałowe Wzgórze, z którego wszechobecnej magii pozostały jedynie tęsknota, żal oraz samotność.

Kornelia Krawiec (Peonia), kl. 2
Liceum Ogólnokształcące w Dzierżoniowie

Od nowa

– Kate ścisz to! – krzyczę tak głośno, żeby usłyszała moja młodsza siostra zamknięta w swoim pokoju na piętrze. To chyba nie działa, bo po piętnastu minutach dalej słyszę zapętloną składankę „Tegorocznych Świątecznych Hitów”.

– Kaitlyn!!! – drę się na cały dom, zaraz potem kaszlę i pocieram szyję. Czekam jeszcze kilka minut, ale mam wrażenie, że jest nawet głośniejsze, niż było chwilę temu. Schodzę ospale z kanapy, idę po schodach prosto do jej pokoju.

– ...gdy zostawiłeś mnie w tym roku, świąteczne marzenia rozpełzły się w mroku, ooo oo magiczny czas ogarnął nas, więc powiedz proszę, czego było ci brak? Ooo oo Magiczny czas...

– Co to jest? – pytam zirytowana, podchodzę do radia i je wyłączam.

– Piosenka, głucha jesteś? – Kate siedzi na fotelu, nie patrzy na mnie. – Włącz to z powrotem i wyjdź.

– Szajs nie piosenka – mówię schylając się do gniazdzka. – Sama nie umiałaś ściszyć, to myślałam, że ci pomogę.

– Miło – wstaje, podchodzi do mnie i uśmiecha się złośliwie, wyrwa mi z rąk kabel i wtyka z powrotem, włącza radio.

– Uspokój się Kaitlyn – przewracam oczami i ściszam muzykę. – Gdyby mama...

– Co? – przerywa mi ostro. – Matki nie ma. Przynajmniej ja jej nigdzie nie widzę, a ty?

Uderzam z całej siły pięścią o blat biurka. Nie spodziewałam się, że aż tak zaboli, Kate odsuwa się ode mnie, jakby bojąc się, że teraz ona dostanie. I dobrze – myślę – potrzebuję trochę spokoju.

– A ja co? To niby moja wina?! – podnoszę głos.

Jest cicho, zaczynam się denerwować. Spoglądam odruchowo na Kate i nie umiem odczytać wyrazu jej twarzy.

– Nie... – mówi chłodno. – Ale nie próbuj na siłę ją zastąpić, Meg. Opuść sobie.

Bardzo chcę jej odpowiedzieć, bardzo, powstrzymuję się tylko dlatego, żeby nie powiedzieć za dużo. Zamiast tego szybko wychodzę z pokoju, trzaskam drzwiami i przez chwilę opieram się o nie, próbując choć trochę opanować nerwy. Gdy uderzają we mnie pierwsze słowa piosenki, odrywam się momentalnie i pędzę na dół, do salonu, na kanapę, pod stertę koców i staram się powstrzymać łzy. Po co? Przechodzi mi przez myśl i przestaję się starać, płacząc, jest mi gorąco i cała się pocę, ale odkrywam się dopiero, gdy trudno jest mi oddychać. Podciągam nogi i opieram się o zagłówek, szukam pilota od telewizora, a gdy go w końcu znajduję, nie mam już ochoty, żeby cokolwiek oglądać. Ale mimo to naciskam guzik i przeskakuję wszystkie programy.

– Zrób to z nami: świąteczne ozdoby... Kevin sam w domu... – oczywiście, mamrocze pod nosem – Wielkie oczy... Wielkie oczy

2... Kopciuszek... Wielkie oczy 3... Kevin sam w Nowym Jorku – klasyk – Wielkie oczy 4... – rany...

Wzdycham, wyłączam telewizor i odrzucam na bok pilota. W salonie jest ciemno, oczy mnie pieką od ekranu. Zsuwam się niżej na kanapie i, przez nawet nie wiem jak długo, leżę i patrzę się w sufit. Po jakimś czasie przekręcam się na bok i dalej leżę. Nie wiem nawet kiedy zasypiam, ale gdy się budzę, na początku oślepia mnie światło i słyszę niewyraźnie Kate, gdzieś daleko. Podnoszę się ociężale, kręci mi się w głowie, w ustach czuję mdły smak, zamykam oczy. Niedobrze mi. Gdy je otwieram Kaitlyn stoi przede mną.

– Co ty wyprawiasz? – pyta.

– Nic – mamroczę, patrzę na nią, ale ona unika mojego wzroku, dopiero po chwili widzę jej zaczerwienione i opuchnięte oczy.

Nie odzywamy się do siebie, ale czuję, że zaraz sobie pójdzie, zamknie się w pokoju, a ja nie chcę być sama. Przesuwam koce robiąc miejsce obok siebie. Kate stoi jeszcze przez chwilę, w końcu wspina się na kanapę i siada obok. Patrzę jak bierze pilota do ręki i robi to samo co ja parę godzin temu. Tylko nie czyta na głos nazw programów, dlatego ciszę co chwilę przerywa tylko krótkie klikanie.

– Ooo! – mówi nagle – Wielkie oczy zza choinki!

– Która to część? – pytam zmieszana.

– Dodatek świąteczny – odpowiada wpatrzona w ekran. – Pamiętasz? Kiedyś to oglądałyśmy razem...

Kiwam głową. Uśmiecham się, czuję, że jest lepiej, chociaż trochę. Siedzimy, oglądamy, przez chwilę jest normalnie, dobrze. Pod koniec filmu przeciągam się i rozprostowuję nogi.

– Idę do kuchni, chcesz coś? – wstaję z kanapy, ale zanim zdążę się odwrócić Kate przyciąga mnie do siebie i przytula mocno. Stoję zdezorientowana, normalnie się tak nie zachowuje, nie przytulała mnie, od przedszkola? Chyba tak. W końcu odsuwa się, widać, że jest skrzępowana, a ja nie wiem jak jej pomóc.

– Może kakao? – pytam. Kaitlyn przytakuje i uśmiecha się lekko, ale dalej na mnie nie patrzy.

Idąc do kuchni mimowolnie zastanawiam się jak bardzo nasza relacja się zmieniła odkąd byliśmy małe, jak się od siebie oddaliłyśmy. Wracam do salonu z dwoma kubkami i pudełkiem pod pachą.

– Dzięki – mówi Kate biorąc kakao. – Co tam masz?

Upijam łyk, żeby nie rozlać i siadam obok niej.

– Lukrowane pierniki – czytam napis na pojemniku – chyba, że wolisz coś innego? Barszcz? Pierogi?

– Są jeszcze? – Kate na chwilę odrywa się od kubka.

– Z tego co widziałam mamy trzy słoiki barszczu, a pierogów też całkiem sporo. Po namyśle dodaję: Pierwsza gwiazdka już się chyba pojawiła... dość dawno... mogłybyśmy sobie zrobić jakąś małą wieszercę. Co? Przynieść trochę?

Kate przez chwilę milczy, ale w końcu kręci głową.

– Nie trzeba – mówi. – Porobimy coś jeszcze?

– Co? – pytam, może trochę zbyt chłodno, ale jest mi przykro i nie umiem tego ukryć.

Kaitlyn wychyla się i wyciąga z półki pod stołem kilka gier planszowych. Potrząsa nimi i kładzie przede mną.

– Może to? – obraca je tak, żebyśmy obie widziały tytuły: Farma, Monopoly, Książkowy zawrót głowy...

– A ta jest o czym? – biorę od niej ostatnią planszówkę i zaczytnam czytać opis: *Idealna gra dla moli książkowych, wykaż się swoją książkową wiedzą i zdobywaj punkty...* – to coś jak Milionerzy, tylko o książkach?

– Chyba tak – Kate wzdycha, widzę, że nie jest zainteresowana. Odkładam wszystkie gry na bok i kładę się z powrotem na kanapę. Chwilę później czuję jak ugina się pode mną i kątem oka widzę odalającą się Kaitlyn, idzie na górę po schodach, do swojego pokoju, zamyka drzwi. Ja zamykam oczy. Chyba zaczęłam zasypiać, bo wzdrygam się słysząc ponownie kroki na schodach. Kate przechodzi przez salon niosąc swoje małe radyjko, kuca przy gniazdku i przez chwilę się waha.

– Nie będzie ci przeszkadzać?

– Nie – mam zachrypnięty głos.

Podłącza je do prądu i naciska przycisk. Gdy słysząc już muzykę, wstaje z podłogi i kładzie się na kanapie obok mnie, stykamy się ramionami.

...noc objęła nas przyjaźnie oo la la la oo laa laa igielki drgnęły niewyraźnie oo laa laa tylko z tobą chcę być, tylko z tobą chcę żyć oo la la la... oo la la la...

– Szajs – mówię cicho. Odwracam się do Kate i patrzę na nią wychekując. Bardzo długo się nie odzywa. Wysłuchałyśmy już całej składanki, a ja dalej czekam.

– Jest wigilia Meg, nie chcę być sama.

Wstaję z kanapy.

– Ja też – mówię. – Od nowa?

Kate uśmiecha się.

– Od nowa.

Podchodzę do radia i puszczam płytę jeszcze raz. Od nowa.

Hanna Marcinkowska

(Szesnasta cyfra liczby Pi), kl. 2

VI Liceum Ogólnokształcące w Kielcach

Arrête! C'est ici l'empire de la Mort

Do podróży gotowy był Wokulski tuż przed siódmą. Obudziwszy się kwadrans po piątej, zjadł pożywne śniadanie, przywdział kalosze i swój najcieplejszy płaszcz podszywany lisim futrem. Następnie posłał list do Geista, informując, że do laboratorium przyjdzie dopiero wieczorem, jeśli jego wyprawa potoczy się zgodnie z planem, po czym wyszedł z hotelu i powozem udał się na Rue Denfert-Rochereau, gdzie dnia poprzedniego umówił się z Ochockim. Gdy dotarł na miejsce, ten już na niego czekał, co jakiś czas wyciągając ze swojej kamizelki mały srebrny zegarek i sprawdzając godzinę, a potem znowu chowając go gdzieś w głąb kieszeni.

– Panie Wokulski – odezwał się młodzieniec, gdy ten zszedł z powozu i prędko zbliżył się, by móc uścisnąć jego rękę. – Przewodnik już na nas czeka. Proszę ze mną – kontynuował, po czym ruszył naprzód, oczekując, że Wokulski dotrzyma mu kroku. Po kilku minutach spaceru ich oczom ukazały się dwa neoklasycystyczne kremowe budynki, usytuowane po przeciwnych stronach ulicy. Zdobione były one przez fryzy i gdy Wokulski przyjrzał im się uważnie, zauważył, że ozdoby te przybierały pod pewnym kątem kształt tancerzek. Obok jednego z gmachów dostrzegł też garstkę ludzi, którzy ubrani podobnie jak on czekali przed wejściem do małego, ciemnego, z wyglądu przypominającego szopę, budynku. Nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje. Tę część Paryża widział jedynie w jednym z wielu podarowanych mu miejskich przewodników. Szedł więc równo z Ochockim, zbliżając się do grupy ludzi. – Panie Wokulski, to nasz dzisiejszy przewodnik – ogłosił Ochocki, wskazując na wychodzącego z tłumu starszego mężczyznę.

– *Monsieur* – przewodnik, lat około pięćdziesiąt, o siwiuteńkich już włosach i przygarbionych plecach, uklonił się i uścisnął rękę Wokulskiego. – Droga w dół liczy nie więcej niż dwieście stopni.

– Droga? – zapytał zmieszany Wokulski.

Przewodnik spojrzał najpierw na niego, a potem znów na Ochockiego, który począł wyjaśniać. – Panie Wokulski, czy wie pan, gdzie się znajdujemy?

– Pojęcia nie mam – przyznał.

W tym samym momencie drzwi szopy otworzyły się i Wokulski na swej twarzy poczuł, jak chłód wydostaje się ze środka. Oczom jego ukazała się długa na piętnaście kroków alejka oświetlona tylko kilkoma pochodniami, na końcu której znajdowały się kręte schody w dół. Przewodnik poszedł przodem, pokazując gościom, aby podążali za nim. Gdy schodzili, zaczął on swoje opowieści.

– Jeszcze przed dwoma laty ulica, na której się dziś zebraliśmy, nazywała się *Rued'Enfer*.

– „Ulica piekieł” – pomyślał Wokulski, przekładając w głowie język francuski na swą rodzimą mowę, ostrożnie schodząc po węższych niż połowa jego stopy stopniach.

– Miejsce to, według lokalnych historyków, było miejscem licznych kradzieży i rozpusty, skąd wynika jego nazwa – opowiadał, a kiedy po dokładnie stu dziewięćdziesięciu sześciu stopniach znaleźli się na samym dole, wskazując palcem na miejsce gdzieś nad strzelistą bramą, dodał:

– Chociaż niektórzy mają inne zdanie dotyczące etymologii tej nazwy.

Wokulski spojrział w górę na wskazane przez przewodnika miejsce.

„Arrête! C’est ici l’empire de la Mort”

Napis lśnił w jego oczach, a w myślach rozbrzmiewała mu na okrągło odczytana sentencja. Kiedy z zawahaniem przeszedł przez bramę, jego oczom ukazał się korytarz, który, mimo że początkowo wyglądem swym nie odstraszał i wydawał się niegroźny, już po chwili zjeżył Wokulskiemu wszystkie włosy na głowie. Dostrzegł on, że budulcem tego pokoju nie była ani glina, ani brunatna ziemia, ani nie nawet popielate cegły, a ludzkie czaszki najróżniejszych rozmiarów. Ułożone były równolegle wzdłuż obu ścian, tworząc tuzin rzędów przeplatanych kośćmi coraz innych kształtów. Wiele z nich było już dziurawych, inne były kompletnie zdeformowane, a jeszcze inne wydawały się Wokulskiemu nie większe niż jego zaciśnięta dłoń, z czego wnioskował, że patrzył właśnie na kości małego dziecka. Przewodnik oraz reszta gości szli odważnie do przodu, nie przywiązując nawet najmniejszej wagi do tego, że z każdym krokiem chrupały im pod stopami stare, zbrązowiałe już kości, które nie znalazłszy swego miejsca pośród równie podniszczonych czaszek na ścianie, pałętały się pod nogami tych, którzy odważyli się wejść do miejsca ich wiecznego spoczynku. Wokulski szedł powoli za nimi, stawiał kroki powoli i ostrożnie w obawie, by nie wydać żadnego dźwięku, który mógłby tylko na niego zesłać złość tych, którzy tu spoczywają.

– W poprzednim stuleciu paryżanie poczęli skarżyć się na zapach pochodzący z miejscowych cmentarzysk, na których brakowało miejsca na nowe pochówki – usłyszał przed sobą głos przewodnika, który z każdym słowem zdawał się być coraz cichszy, jakby

oddalał się prędko od wlokącego się Wokulskiego. – By obniżyć niezadowolenie mieszkańców oraz zapobiec wybuchowi epidemii, ówczesna władza zdecydowała się przenieść zalegające szczątki do tuneli starej kopalni kamienia, w której to aktualnie się znajdujemy. W ten oto sposób przez ostatnie sto lat miejsce to stało się domem dla milionów zmarłych i ich szczątków – przewodnik opowiadał w miarę przemierzania kolejnych alei, z których każda wyglądała dokładnie tak samo jak poprzednia, co wzbudziło szczególną grozę w sercu Wokulskiego.

Westchnął on głęboko, a wraz z wdychanym powietrzem spodziewał się poczuć intensywny, odpychający, duszący odór rozkładających się ludzkich zwłok. Nic jednak nie poczuł oprócz mdłej woni, która przeraziła go jednak jeszcze bardziej. – „Ten zapach” – pomyślał. – „Tak właśnie pachnie śmierć, która zawsze unosi się gdzieś w powietrzu, którym człowiek oddycha”.

Kiedy w końcu znalazł się w pomieszczeniu, którego ścianę zdobił zbudowany z kości krzyż, znów usłyszał głos przewodnika. – Katakumby znalazły zastosowanie szczególnie w czasach rewolucji. Tysiące jej ofiar zostało pochowanych dokładnie w tym miejscu.

Wokulski zatrzymał się i jak zakłęty wpatrywał się w ten religijny symbol. Opowieści przewodnika oraz tupot gości milkły pośród wrzasku myśli, jakie poczęły przewijać się w jego głowie. – „Tu spoczywało tysiące takich jak on. Wówczas buntowników – a dziś? Żaden przechodzień nie ma szansy pojąć, że to usypisko kości, po których teraz tak bezmyślnie stąpa, to jedyne, co pozostało po jednostkach z wielkimi zamiarami, wielkimi planami, wielkimi ideami.” – Popatrzył na swoich współtowarzyszy, którzy niewątpliwie niewzruszeni snutymi historiami, ze znudzeniem przestępowali z nogi na nogę, sygnalizując, że woleliby już iść dalej. – „Najwidoczniej ich wielkie idee umarły wraz z nimi, bo nikt o nich ani nie musi, ani nawet nie chce pamiętać... A jeżeli ja bym jako buntownik zginął, czy byłbym równie szybko zapomniany?” – Snując te rozważania, Wokulski strofował się. – „Nie, głupcze. Ty zostałbyś zapominany jeszcze szybciej. Jakim prawem

ty porównujesz się z tymi walczącymi o wolność wojownikami? Z tymi, którzy otwarcie wystąpili przeciw zasadom świata, w którym ich wysiłek stanowił zysk tych, co stali nad nimi. Ty, który miałeś przecież w życiu wszystko, swojego buntu nie motywuj potrzebą walki o byt, bo wszystkie twoje działania były zaledwie zachciankami”.

Kim on był jednak, jeśli nie buntownikiem takim jak oni? Całe jego życie naznaczone było tułaczką przez różne destynacje i stany. Od szlachcica do wygnańca. Od uczonego do wariata. Nieważne, gdzie się znalazł, zawsze podążało za nim pragnienie sięgnięcia po więcej. Miejsce, w którym był, zawsze wydawało mu się gorsze od tego, w którym mógłby być, gdyby tylko odważył się spróbować nagiąć zasady czy wyjść poza dawno ustalony już przez społeczeństwo schemat. Nawet teraz, czy nie był on buntownikiem? Prawie pięć krzyżyków na karku, a jemu zachciało się nagle konstruowania maszyn latających. Jego obecne działania mógłby nazwać tylko buntem przeciwko dawno już zaakceptowanym prawom natury, która w swej mądrości pewnie znalazła powód ludzkości nieznaną, aby ptakom podarować skrzydła, a ich pozostawić do ziemi przykutych, bez możliwości wzniesienia się pod niebiosa.

– „Popatrz, do czego ich doprowadziło wojowanie z ładem świata” – szeptał pod nosem, przechadzając się po pokoju i patrząc na szczątki. – Kiedyś wielcy wojownicy, niosący dzielnie naprzód ideę wolności. Dzisiaj to tylko sterta kości, z której nawet nie możesz odczytać ich imion. Tyle po nich i ich działaniach przeciwko ładowi świata zostało. Skoro im wszystkim, razem zebrany, w imię jednej idei złączonych, się nie udało, to jak mogłoby udać się tobie?”

Nagle przypomniał sobie o pannie Izabeli, o której ostatnio przestał myśleć na czas dostatecznie długi, by samo wspomnienie jej imienia przestało odbierać mu rozum. – „Ty głupi myślałeś, że ciebie, marnego kupca, zwykłego robaka, jakich na świecie miliony, taki motyl jak ona pokocha” – śmiał się sam z siebie. – „Jeśli plan twój za pierwszym razem nie przyniesie korzyści, nie musisz się przejmować, gdyż naturalny upór ludzki każe ci raz jeszcze

spróbować. Gorzej, jeśli okaże się, że twój plan nie tylko się nie powiodł, ale też od początku był skazany na porażkę. Stracić dobre dwa lata życia na bezcelowe działania, to upokorzenie. To jak zabawa w gonienie czegoś, co wcale nie ma ochoty przed tobą uciekać. I ja, tak jak oni, życie me straciłem na z ogniem bojowanie”. W zamyśleniu nie zauważył, że Ochocki i inni już dawno przebiegli się do kolejnej alei. Ogarnięty paniką zaczął przyglądać się wszystkim wydrążonym w ścianach dziurom, próbując przypomnieć sobie, którą tu wszedł, a którą miał wyjść. Każdy pokój wydawał mu się być dokładną kopią poprzedniego, nieróżniącą się nawet najdrobniejszym detalem. Począł nerwowo przemierzać poszczególne korytarze, trafiając na ślepe zaułki, albo na kolejne rozgałęzienia i niezależnie, którą z dróg wybrał, zawsze prowadziła go ona do pokoju z krzyżem. Swoje bezowocne jak dotąd starania, zdecydował się zakończyć dopiero wtedy, gdy na końcu jednej z alejek dostrzegł zbudowany z setek kości tron, który w świetle zapalanej na ścianie pochodni błyszczał w oczach Wokulskiego tak, jak gdyby był zrobiony z prawdziwego złota.

– Panowie, bądźmy poważni! To zwiedzanie miało zakończyć się przed dziesiątą! Proszę pośpieszyć tego *monsieur*! W moich dzisiejszych planach nie ma miejsca na żadne opóźnienia! – usłyszał w oddali krzyki jakiegoś Francuza i zbliżające się odgłosy czyichś kroków.

– Panie Wokulski, proszę ze mną. Inni zwiedzający już się niecierpliwią – zawołał Ochocki, wychylając się nagle zza ściany. – Do tego, to miejsce jest jak labirynt. O zagubienie się nietrudno, gorzej z późniejszym odnalezieniem się wśród tych korytarzy.

Wokulski pokiwiał lekko głową i zbliżył palec do ściany.

– Najwidoczniej to Krasiński miał rację – powiedział cicho, przesuwając swą dłoń po jednej z czaszek, rejestrując dokładnie wszystkie jej grudki i wypustki. – Nic tak nie zniewala człowieka, jak dążenia do własnej wolności.

Po tych słowach udał się za Ochockim do następnej alei.

**Jakub Krok (Santiago de Paso), kl. 4
I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie**

Siostra

Dramat w jednym akcie

Osoby:

Mężczyzna

Siostra

Morderca

Scena I

Na scenie Mężczyzna. Sam.

MĘŻCZYŻNA: To ostatni dzień. Już ostatni dzień, kiedy wciąż mogę. Przychodzi do mnie istota i mówi: „Musisz wejść na szczyt”. Góra jest jednak bardzo wysoka, ale to nie problem. Nie mogę wejść, ponieważ przytwierdzona jest do nieboskłonu. Nie do ziemi. Wisi nade mną i gdyby mogła stać się żywa, z pewnością przeszłaby mnie chłodnym wzrokiem. Grawitacja nieboskłonu jest niezrozumiała, odwrotna. Chciałbym się wspiąć, lecz gdybym tylko mógł spróbować, co już samo w sobie jest niemożliwe, od razu uległbym nieograniczonej sile przyciągania, która pokonałaby mnie i uczyniła bezwładnym ciągnąc ku szczytowi. Widziałbym, że zbliżam się do niego, że jest już na wyciągnięcie ręki, lecz nie mógłbym go złapać, ponieważ spadałbym zbyt szybko. Minąłbym go i patrzył spokojnie, jak się oddala... Możliwe, że to wcale nie góra. Przecież w ogóle nie wygląda, jak góra. To jedynie wielki, abstrakcyjny i niepojęty obiekt, który wisi nade mną. Jest koniecznością, która musi mnie spotkać. Moja droga jest pełna prób ucieczki, lecz w każdym zaufku czeka nieuniknione. *(Pauza)* Nadszedł już czas. Muszę iść ku zapowiedzianemu. Tam spotkam człowieka, który powie mi, że jeszcze chwila i będę mógł wejść

na szczyt. W tamtym świecie grawitacja jest odwrotna. Nieznane stanie się znanym, a znane nieznanym. Stojąc na szczycie spojrzę na nieboskłon i stwierdzę: „Nie ma już dla mnie tamtego świata. Nie ma już dla mnie niczego, co było. Wszystko zostało tam. Spakowano mi walizkę i wysłano mnie w daleką podróż, z której już pewnie nigdy nie wrócę.” To ostatni dzień. Już jutro stanę na tym szczycie, spojrzę w nieboskłon i zobaczę wielką abstrakcyjną figurę, tę która jeszcze teraz jest normalna, po której mogę teraz wchodzić. Istota przyjdzie do mnie i powie: „Jesteś na szczycie, udało ci się. Lecz tamtego szczytu już nigdy nie osiągniesz.” A ja zacznę płakać i spojrzę w tamtą stronę. *(Pauza)* To ostatni dzień. Jestem mordercą, więc jestem gotowy, bo muszę być gotowy. Idę ku oślepiającemu światłu sprawiedliwości i nie rozumiem. Tam czeka na mnie gotowy wyrok. Oczywisty wyrok. To ostatni dzień.

Pojawia się Siostra siedząca na krześle przy stole. Naprzeciwko niej stoi drugie krzesło, które jest wolne.

MĘŻCZYŻNA: To miejsce jest dokładnie takie, jakie ma być. Siostra siedzi przy stole i czeka na mnie, ponieważ zadzwoniłem, że przyjdę. Sprawa jest nagła. To scena z koszmarnego snu, z tamtej niechcianej wizji, którą próbowałem zapomnieć, lecz w końcu wróciła do mnie stając się rzeczywistością. Skazano mnie. To ostatni dzień. Kiedy przekroczę linię, wszystko stanie się realne. Wchodzę.

Mężczyzna obraca się ku Siostrze i idzie w jej stronę. Kiedy ona go dostrzeża, wstaje i obejmuje go na przywitanie. Trwają w uścisku przez dłuższą chwilę, jakby dawno się nie widzieli.

SIOSTRA: Napijesz się czegoś?

MĘŻCZYŻNA: Nie, dziękuję. Piłem herbatę przed wyjściem.

SIOSTRA: Mam ciasto. Chciałbyś?

MĘŻCZYŻNA: Jakie?

SIOSTRA: Borówkowe. Upiekłam wczoraj wieczorem.

MĘŻCZYŻNA: Spróbuję.

Ciasto na stole. Mężczyzna i Siostra nakładają sobie po kawałku na talerzyki i zaczynają jeść.

MĘŻCZYŻNA: Za niedługo masz urodziny.

SIOSTRA: Tak, to prawda, nie mogę się doczekać.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

SIOSTRA: Zawsze się cieszyłam, że urodziłam się w kwietniu, wśród zakwitających kwiatów. To piękne, nie sądzisz?

MĘŻCZYŻNA: Kwiecień to najokrutniejszy miesiąc.

SIOSTRA: Ale przecież nie mów tak! Jest tak zielono, tak ładnie. Tak... świeżo.

Mężczyzna je ciasto.

MĘŻCZYŻNA: Na szczęście urodziłem się w grudniu. W grudniu cierpi tylko człowiek. Niedźwiedzie śpią w gawrach, a życie toczy się pod ziemią. Człowiek umiera na ulicy.

SIOSTRA: Przestań tak mówić... Dlaczego jesteś taki smutny?

MĘŻCZYŻNA: Nie jestem smutny.

SIOSTRA: Ale jesteś zupełnie nieswój. Coś się stało?

MEŹCZYŻNA: Nic się nie stało.

SIOSTRA: Coś się musiało stać.

MEŹCZYŻNA: Proszę cię, nie rozmawiajmy tak. Nie mam dużo czasu.

SIOSTRA: Naprawdę? Będziesz musiał zaraz iść?

MEŹCZYŻNA: Tak.

Jedzą chwilę w ciszy.

MEŹCZYŻNA: Mam coś dla ciebie.

SIOSTRA: Co takiego?

MEŹCZYŻNA: Prezent urodzinowy.

SIOSTRA: Ale przecież nie mam dzisiaj urodzin. Jeszcze nie dzisiaj.

MEŹCZYŻNA: Ale dam ci go teraz.

Mężczyzna wyciąga drobny pakunek i wręcza Siostrze.

MEŹCZYŻNA: Proszę.

Siostra bierze do ręki pakunek w papierze prezentowym, po czym wstaje i ściska Mężczyznę wesoło w podzięce.

SIOSTRA: Dziękuję! Mogę go teraz otworzyć?

MEŹCZYŻNA: Tak, otwórz.

Siostra energicznymi ruchami zdziera papier z prezentu i dostaje się do zawartości. Skonsternowana wyciąga ze środka różaniec. Bierze go do rąk i obraca, palcami wodząc po koralikach.

SIOSTRA: Co to jest?

MĘŻCZYŻNA: Różaniec.

SIOSTRA: Wiem, że różaniec. Ale dlaczego mi go dajesz?

MĘŻCZYŻNA: Chciałbym, żebyś się za mnie modliła.

SIOSTRA: Nigdy nie prosiłeś o takie rzeczy.

MĘŻCZYŻNA: Ale teraz mi na tym zależy.

Dłuższa chwila ciszy.

MĘŻCZYŻNA: To mój ostatni dzień.

Siostra podnosi na niego zaniepokojony wzrok.

MĘŻCZYŻNA: Będę musiał odejść.

SIOSTRA: Dokąd?

MĘŻCZYŻNA: Daleko stąd, na tamtą stronę. Za niedługo przyjdzie po mnie ktoś, kto zaprowadzi mnie na nową ścieżkę.

SIOSTRA: O czym ty mówisz? Jaką nową ścieżkę?

MĘŻCZYŻNA: Umieram. Dziś umieram, nie będzie mnie więcej.

SIOSTRA: Jesteś chory? I mi o tym nie powiedziałeś?

MĘŻCZYŻNA: Nie, jestem zdrowy. Ale to jest konieczność. Nie da się inaczej.

Siostra milczy przez dłuższą chwilę, po czym przeszywa Mężczyznę wzrokiem.

SIOSTRA: Co to znaczy, że się nie da inaczej? Co to ma być? Jakiś żart? Bredzisz bez sensu. Jesteś młody, dlaczego miałbyś umierać.

MĘŻCZYŻNA: Zostanę zamordowany.

SIOSTRA: Przez kogo? Skąd o tym wiesz?

MĘŻCZYŻNA: Nie wiem przez kogo, ale tak musi być. Mój czas się skończył.

Siostra wstaje z krzesła i zaczyna się przechadzać nerwowo.

SIOSTRA: Nie zniosę tego. Co ja ci zrobiłam? Co ja ci zrobiłam?! O co chodzi?! Dlaczego żartujesz ze mnie w ten sposób?! Myślisz, że mama byłaby dumna, gdyby mogła się dowiedzieć, że żartujesz o śmierci? Po tym wszystkim, co musieliśmy przechodzić, kiedy zachorowała?! Jesteś młody, opanuj się, idź do psychologa, odpocznij. Nie możesz żartować z takich rzeczy.

MĘŻCZYŻNA: Ja nie żartuję, nie rozumiesz tego?! Śmierć na mnie czeka. Stoi za drzwiami i ostrzy kosę, a ja muszę się jej poddać.

SIOSTRA: Chcesz popełnić samobójstwo?

MĘŻCZYŻNA: Chciałbym żyć, ale już nie mogę, rozumiesz, nie mogę. To jest koniec mojego czasu, zostały już tylko ostatnie chwile, nie wiem co powinniśmy teraz zrobić, przyszedłem się z tobą pożegnać, powiedzieć ci, że wszystko będzie dobrze. Lub powiedzieć cokolwiek innego, co mówi się w takich sytuacjach.

Nie wiem, przeżywam coś takiego pierwszy raz i już nigdy się to nie powtórzy!

SIOSTRA: Ale to nie ma sensu, nie rozumiesz?! Nie ma sensu! Skąd masz wiedzieć, że umierasz?!

MĘŻCZYŻNA: Wiem, bo to konieczność. Nie mogę wejść na tę górę. Wspinaczka jest niemożliwa, bo jedyne co widzę to szczyt, ale on zwisa nade mną złowieszczo, zaraz się we mnie wbije, a ja nie mogę na nim stanąć, mogę tylko czekać aż mnie przeszyje. Ktoś po mnie idzie, jest już blisko, jeszcze chwila, a usłyszę jego kroki. Nie mogę z tym walczyć.

SIOSTRA: Nigdzie cię nie puszcze, nie będziesz z nikim wychodził. A ten różaniec zaraz rozszarpię. Nie myśl, że będę się za ciebie modlić, nie myśl o tym. Podejmij się czegoś, czegokolwiek, walcz, nie pozwól by odebrano ci to, co najważniejsze!

MĘŻCZYŻNA: Będziesz za mną tęsknić?

SIOSTRA: Nie będę, bo nigdzie się nie wybierasz! Zostajesz tutaj! Zabarykadujemy się, nikt tu nie wejdzie.

Siostra idzie przesunąć szafę, żeby zasłonić nią drzwi. Podchodzi i zaczyna pchać, lecz szafa jest za ciężka i się nie rusza.

SIOSTRA: Pomóż mi, sama nie dam rady!

Siedzi na krześle ze wzrokiem wbitym w ziemię i nie patrzy w kierunku szafy. Trwa nieruchomo.

SIOSTRA: Dlaczego nie współpracujesz? Chodzi o twoje życie!

Mężczyzna nie reaguje. Siostra, po kolejnych upływających chwilach, wypełnionych usiłowaniami przesunięcia szafy, osuwa się na ziemię.

SIOSTRA: O co w tym wszystkim chodzi?

MĘŻCZYŻNA: O to, że nie mam wyboru, rozumiesz? Twoje dni też są policzone, ale licznik jeszcze się nie zatrzymał. Ja muszę przejść na tamtą stronę, to konieczne. To jest po prostu konieczne. Czego nie rozumiesz w tym prostym, jasnym słowie. Konieczność. Konieczne. O to właśnie chodzi.

SIOSTRA: Ale skąd ty wiesz?

MĘŻCZYŻNA: To jasne.

Trwają dłuższą chwilę w milczeniu i bezruchu. Później Siostra wstaje i wraca do stołu. Siada na krześle. Opuszcza wzrok.

MĘŻCZYŻNA: Nie kłóćmy się. To ostatni dzień. Moje ostatnie chwile.

SIOSTRA: Ale ja się na to nie zgadzam! Zrozum to! Nie mogę się na to zgodzić! Ta sytuacja jest absurdalna, nieprawdziwa. To jest na pewno sen!

MĘŻCZYŻNA: To nie jest sen. To mógł być sen, ale teraz stał się jawą.

SIOSTRA: Przestań bredzić. Przestań wreszcie bredzić! Gadanie bez sensu niczego nie naprawi. Jeśli masz jakiś problem, to mi o nim powiedz. Pomogę ci. Przecież muszę potrafić ci jakoś pomóc.

MĘŻCZYŻNA: To niemożliwe.

SIOSTRA: Oczywiście, że możliwe, nic nie jest nieodwołalne.

MĘŻCZYŻNA: Jako ludzie zrozumieliśmy już prawie wszystko. Tylko śmierć nadal pozostaje tajemnicą.

SIOSTRA: Przestań, proszę. Nie mów już tak...

Siostra kryje twarz w dłoniach w zrezygnowaniu i rozpacz. Mija dłuższa chwila.

SIOSTRA: Co ja mogę zrobić? Naprawdę nic nie mogę zrobić?

Chwila ciszy.

SIOSTRA: To niemożliwe, że jestem aż tak bezsilna...

Chwila ciszy.

SIOSTRA: Jeśli to wszystko prawda, to znaczy, że powinniśmy się pożegnać?

MĘŻCZYŻNA: Tak.

SIOSTRA: I już nigdy cię nie zobaczę, tak?

Mężczyzna milczy.

SIOSTRA: Mogę cię w takim razie ostatni raz przytulić?

MĘŻCZYŻNA: Oczywiście.

Wstają obydwójce i ściskają się przez dłuższą chwilę. Na scenę wchodzi Morderca. Zatrzymuje się i patrzy na nich.

MORDERCA: Dobry wieczór.

Mężczyzna puszcza Siostrę i obraca się do Mordercy.

MĘŻCZYŻNA: Już pan jest... Mogę prosić o minutę?

MORDERCA: Nie. Nadszedł już czas. Jeszcze chwila i będzie pan mógł wejść na szczyt.

Mężczyzna ściska Siostrę jeszcze raz, na pożegnanie. A następnie próbuje się od niej uwolnić. Ona jednak trzyma się go kurczowo. Mężczyzna odpycha ją, najpierw delikatnie, później coraz mocniej i mocniej. Wywiązuje się szarpanina, Siostra krzyczy rozpaczliwie, ale zostaje ostatecznie odepchnięta i upada na ziemię. Mężczyzna patrzy na nią z bólem w oczach, po czym obraca się do Mordercy i kiwa głową. Siostra zaczyna płakać. Morderca i Mężczyzna schodzą ze sceny.

SCENA II

Mężczyzna i Morderca na scenie.

MĘŻCZYŻNA: To sytuacja modelowa. Ona siedzi na krześle przy stole, drugie krzesło czeka na ciebie. Kiedy wejdiesz, nie możesz się jej dać zorientować od razu. Powinna się ucieszyć, że przyszedłeś. W chwili, kiedy dasz jej prezent i zorientuje się, że to różaniec, rozpoczynają się komplikacje. Ona się wścieknie, będzie cię ściskać, a może nawet szarpać. Będzie powtarzać, żebyś przestał bredzić bez sensu i zrobi wszystko, żebyś nie wyszedł. Później powinna się uspokoić. Ale kiedy tylko przyjdzie po ciebie morderca, musisz z nim od razu pójść, pamiętaj o tym. Rozumiesz?

Morderca kiwa głową potwierdzająco.

MORDERCA: Nie chcę tego robić.

MĘŻCZYŻNA: Nikt nie chce tego robić, ale nie możesz się wspiąć na szczyt, skoro góra jest przytwierdzona do nieboskłonu. Mo-

żesz tylko patrzeć, nie uwolnisz się. Ona jest koniecznością. Dopiero po śmierci będziesz wolny.

Morderca zatrwożony opuszcza wzrok.

MĘŻCZYŻNA: Możemy zaczynać?

MORDERCA: Tak.

Mężczyzna schodzi ze sceny. Na scenie Morderca. Sam.

MORDERCA: To ostatni dzień. Już ostatni dzień, kiedy wciąż mogę. Przychodzi do mnie istota i mówi: „Musisz wejść na szczyt”. Góra jest jednak bardzo wysoka, ale to nie problem. Nie mogę wejść, ponieważ przytwierdzona jest do nieboskłonu. Nie do ziemi. Wisi nade mną i gdyby mogła stać się żywa z pewnością przeszłyby mnie chłodnym wzrokiem. Grawitacja nieboskłonu jest niezrozumiała, odwrotna. Chciałbym się wspiąć, lecz gdybym tylko mógł spróbować, co już samo w sobie jest niemożliwe, od razu uległbym nieograniczonej sile przyciągania, która pokonałaby mnie i uczyniła bezwładnym ciągnąc ku szczytowi. Widziałbym, że zbliżam się do niego, że jest już na wyciągnięcie ręki, lecz nie mógłbym go złapać, ponieważ spadałbym zbyt szybko. Minąłbym go i patrzył spokojnie, jak się oddala... Możliwe, że to wcale nie góra. Przecież w ogóle nie wygląda, jak góra. To jedynie wielki, abstrakcyjny i niepojęty obiekt, który wisi nade mną. Jest koniecznością, która musi mnie spotkać. Moja droga jest pełna prób ucieczki, lecz w każdym zaułku czeka nieuniknione. *(Pauza)* Nadszedł już czas. Muszę iść ku zapowiedzianemu. Tam będzie czekał na mnie człowiek, który powie mi, że jeszcze chwila i będę mógł wejść na szczyt. W tamtym świecie grawitacja jest odwrotna. Nieznane stanie się znanym, a znane nieznanym. Stojąc na szczycie spojrzę na nieboskłon i stwierdzę: „Nie ma już dla mnie tamtego świata. Nie ma już dla mnie niczego, co było. Wszystko zostało tam. Spakowano mi walizkę i wysłano mnie w daleką po-

dróż, z której już pewnie nigdy nie wrócę.” To ostatni dzień. Już jutro stanę na tym szczycie, spojrzę w nieboskłon i zobaczę wielką abstrakcyjną figurę, tę która jeszcze teraz jest normalna, po której mogą teraz wchodzić. Istota przyjdzie do mnie i powie: „Jesteś na szczycie, udało ci się. Lecz tamtego szczytu już nigdy nie osiągniesz.” A ja zacznę płakać i spojrzę w tamtą stronę. *(Pauza)* To ostatni dzień. Jestem mordercą, więc jestem gotowy, bo muszę być gotowy. Idę ku oślepiającemu światłu sprawiedliwości i nie rozumiem. Tam czeka na mnie gotowy wyrok. Oczywiście wyrok. To ostatni dzień.

Pojawia się Siostra siedząca na krześle przy stole. Naprzeciwko niej stoi drugie krzesło, które jest wolne. Mężczyzna obraca się ku Siostrze i idzie w jej stronę. Kiedy ona go dostrzeżga, wstaje i obejmuje go na przywitanie. Trwają w uścisku przez dłuższą chwilę, jakby dawno się nie widzieli. Później scena wyciemnia się powoli i w końcu ostatnia smuga światła pada na stos identycznych różańców, niewidocznych wcześniej.

KONIEC

Grzegorz Roda (De), kl. 2
Gdańskie Liceum Autonomiczne
Papkin i krokodyl

Scena pierwsza

PAPKIN, KLARA

Mroźny, styczniowy poranek, krużganki zamku Cześnika, Klara przechadza się w tle. Papkin w stroju francuskim z szablą przy boku.

PAPKIN

(jakby do siebie)

Zanim spełnię próbę posłuszeństwa i wytrwałości, muszę zdobyć krokodyla jako dowód mej śmiałości!

(kładąc dłoń na szabli)

Dla miłości mego życia, zrobię to!

Papkin wychodzi przez główną bramę, w kierunku jamy krokodyla.

Scena druga

PAPKIN, DYNDALSKI

Droga wychodząca z zamku Cześnika. Dyndalski w tradycyjnym stroju.

PAPKIN

(do szabli – Artemizy)

Ach. Czego udało nam się razem dokonać... Niezliczone zwycięstwa zawdzięczam tobie Artemizo.

(po chwili namysłu)

Nie. To ty możesz mnie i moim umiejętnościom zawdzięczać zwycięstwa.

(wchodzi Dyndalski)

PAPKIN

(na stronie)

Czyż nie idzie on właśnie ze stron, w których grasuje krokodyl?

DYNDALSKI

(kłaniając się)

Dokąd to się wybierasz Papkinie?

PAPKIN

(z lekką irytacją)

Bardzo się śpieszę. Muszę schwytać krokodyla!

DYNDALSKI

Oo, oo, ja właśnie...

PAPKIN

(przerywając Dyndalskiemu)

Nie mam czasu na czcze gadaniny, muszę już iść.

DYNDALSKI

W takim razie życzę ci powodzenia.

PAPKIN

(na stronie)

Osoba tak wybitna i wprawiona w boju jak ja, nie potrzebuje powodzenia. Schwytam onego krokodyla nawet z zawiązanymi oczyma!

Dyndalski wychodzi.

Coraz bardziej narasta we mnie chęć, aby zawrócić i dać za wygraną. Jednak jest to moja jedyna szansa na rękę ukochanej Klary...

Papkin zaciska pięść na szabli i przyspiesza kroku, mówiąc po cichu

Jeśli nie chcesz mojej zguby, krokodyla daj mi, luby.

Scena trzecia

PAPKIN

Skrzyżowanie leśnych dróg. Papkin zauważa leżące na ziemi ubranie.

PAPKIN

Czyż nie jest to płaszcz zrobiony ze skóry krokodyla? Myślę, że zamiast gada, dam jej płaszcz z gadziej skóry.

(podnosi płaszcz)

I tak dałbym radę temu przerażającemu stworowi, więc niby czemu miałbym nie skorzystać z tego niespodziewanego prezentu. Dzięki temu zaoszczędzę przynajmniej cierpienia temu potworowi, a sobie czasu.

(odchodzi z dumą w kierunku zamku)

Scena czwarta

Korytarz w zamku Cześnika.

PAPKIN, KLARA, DYNDALSKI

Papkin wchodzi przez bramę i spostrzega Klarę.

PAPKIN

(zziajany)

Klaro! Klaro!

KLARA

Tak?

PAPKIN

Zdobyłem krokodyla!

KLARA

Ech... Papkinie

PAPKIN

Pozwól, że opowiem, jak było z tą krwiożerczą bestią.

KLARA

Wręcz umieram z ciekawości.

PAPKIN

Wpadłem do jego jaskini z bojowym okrzykiem, bestia najwyraźniej się przestraszyła, bo zaczęła pełznąć w głąb swojej jamy.

KLARA

Duży był ten potwór?

PAPKIN

Owszem, ogromny. Miał z piętnaście metrów długości, a ważył chyba tonę, zęby miał długie i ostre niczym szable, no i pazury jak noże myśliwskie!

KLARA

(rozbawiona)

Doprawdy?

(na stronie)

Krokodyle nie są przecież dłuższe niż pięć metrów, a ważą co najwyżej jakieś czterysta pięćdziesiąt kilogramów.

PAPKIN

Oczywiście! Ale ja wprawiony w boju machnąłem kilka razy wspólną Artemizą i poskromiłem bestię!

KLARA

(z ironią w głosie)

Naprawdę? I przyniosłeś mi tego tonowego zwierza? Ach Papkinie, wiedziałam, że na ciebie można liczyć!

PAPKIN

Ten, nooo... tak jakby... nie do końca. Przyniosłem za to... płaszczyz z krokodylej skóry.

(wręcza ukochanej znalezisko)

KLARA

Toż to mój stary zniszczony płaszcz! Przecież dopiero co posłałam Dyndalskiego, żeby się go pozbył, bo jest dziurawy i odarty.

PAPKIN

(na stronie)

Do czarta! Więc to dlatego spotkałem Dyndalskiego. Mogłem dać mu się wypowiedzieć do końca!!!

KLARA

Dyndalski!!!

(wchodzi Dyndalski)

DYNDALSKI

Tak? Słucham?

KLARA

(wręczając płaszcz)

Proszę pozbądź się tego.

DYNDALSKI

(niekontent, z niedowierzaniem)

Znowu?!

KLARA

Tak. Podziękuj Papkinowi.

DYNDALSKI

A więc to tak upolowałeś krokodyla? Gratuluję zajęczego serca!

(Klara śmieje się)

PAPKIN

(do siebie)

Jeśli nie chcesz mojej zguby, krokodyla daj mi, luby.

Scena piąta

PAPKIN

Pomieszczenie w zamku. Papkin, w nocnej koszuli.

PAPKIN

Ach. Znowu siedzę samotnie i nie mogę pozbierać się po mej pierwszej zniewadze i porażce. Chciałbym umilić sobie jakoś ten przykry czas.

(bierze w ręce ukulele i zaczyna grać)

Nawet instrument oburzony tym co się stało nie potrafi wydobyć z siebie niczego ponad smutne dźwięki.

(wzdycha ciężko)

„Urażona дума” – tak nazwę swój nowy utwór. A wszyscy o zaję... to znaczy złamanym sercu, którzy wsłuchają się w nocną ciszę, będą mogli usłyszeć smutne dźwięki wygrywane na ukulele.

KURTYNA

Bartosz Mituła (Conrad Joestar), kl.2

II Liceum Ogólnokształcące

w Gorzowie Wielkopolskim

Konieczność najwyższa

Scena I.

Na scenie dwa fotele, stół kawowy i dwie filiżanki, jak w kawiarni. Aktorzy podczas rozmowy popijają kawę.

Aktor I

Więc czym się ostatnio zajmowałeś?

Aktor II

Szukałem.

Aktor I

Czego?

Aktor II

Sposobów wyważania drzwi z zawiasów.

Aktor I

Hmmmm... Można drzwi porządnie kopnąć, wyszarpnąć, naprzeć na nie łokciem... Ale po co ci wyważać drzwi? Chyba nie chodzi ci po głowie żaden napad?

Aktor II

A właśnie, że chodzi. Trudny i skomplikowany napad.

Aktor I

Kiedy ostatnio sprawdzałem, napady są nielegalne.

Aktor II

Och, nie obchodzi mnie to w najmniejszym stopniu, pokuszę się nawet o stwierdzenie, że nie musiałbym tego robić, gdyby to było dozwolone. I nie, nie przesłyszałeś się, ja to muszę zrobić, żebyś nie myślał przypadkiem, że ja tylko chcę. Tak czy inaczej, będę musiał wyważyć mnóstwo drzwi, drewnianych, szklanych i innych.

Aktor I

Cóż, niewiele ci mogę w tej kwestii doradzić, bo nigdy drzwi nie wyważałem. Chociaż wydaję mi się, że najskuteczniej drzwi wyważać siłą, im większą, tym lepiej.

Aktor II

Siłą... Tak, siłą, masz absolutną słuszność. Siły mi trzeba, siły zwróconej w jeden cel, siły przebijającej, a przede wszystkim muszę wyzbyć się strachu przed użyciem owej siły.

Aktor I

Jeżeli za drzwiami ma ktoś stać, mądrze byłoby nie użyć nadmiernej siły.

Aktor II

Tu także masz słuszność, przyjacielu.

Aktor I

Zawsze pozostaje opcja rozprawienia się z drzwiami wytrychem bądź kluczem, pozyskanym w ten czy inny sposób.

Aktor II

Nie, nie, nie, absolutnie nie, nie i jeszcze raz nie, i kropka.

Aktor I

A to dlaczego? Czy to aby nie prostszy, łagodniejszy, bardziej elegancki i humanitarny sposób na drzwi?

Aktor II

Widzisz... Są dwa rodzaje drzwi spośród tych, które próbuję wyważyć: drzwi już otwarte i drzwi bez zamków. Na żadne z nich ani wytrychy, ani klucze nie podziałają. Tylko siła.

Aktor I

Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że oszalałeś. Na cóż ci wyważanie otwartych drzwi i gdzież niby wstawiają drzwi bez zamków, i czy nie winienes ich nazywać po prostu ścianami?

Aktor II

Wyważać drzwi otwarte to tyle, co odważyć się przez nie przejść, a niekiedy trzeba na to większej siły niż do wyważania drzwi zamkniętych. Natomiast drzwi bez zamków to nie ściany, w żadnym wypadku. Różnica jest kardynalna.

Aktor I

Osobliwe są twoje rozterki, przyjacielu, czy raczej osobliwe są słowa, w które je ubierasz.

Aktor II

Myszę, że użyję łomu.

Aktor I

Nie wydaje ci się, że to już za dużo?

Aktor II

Możliwe... Ale chcę go chociaż mieć pod ręką, gdyby coś miało pójść nie tak.

Aktor I

Wolałbym, żebyś w ogóle nie dotykał łomu i nie brał go po uwagę.

Aktor II

Za późno, już go wziąłem pod uwagę.

Aktor I

Przyjacielu, czy ty aby na pewno musisz te drzwi wyważyć?

Aktor II

Muszę, muszę na pewno, to konieczność najwyższa. Muszę cię też przeprosić i pożegnać, bo muszę już iść.

Wstaje i wychodzi.

Koniec.